

Część II Na Zachodzie

6

TRUDNY POCZĄTEK WOLNOŚCI

Z dworca autokar zabrał nas do hotelu. Po drodze przyglądaliśmy się miastu. Kwiaty, we wszystkich kolorach, wszędzie kwiaty, na klombach, na parapetach okien. Tłum przechodniów z dala wygląda jak ukwiecona łąka, a nie jak to szare rżysko po tamtej stronie żelaznej kurtyny.

Przydzielając pokoje chcieli mnie i Marysię rozdzielić. Zaprotestowaliśmy, oświadczając, że jesteśmy małżeństwem. UB jakoś tego nie wyniuchało. Mieliśmy paszporty na inne nazwiska. Odtąd przydzielali nas razem.

Zwiedzaliśmy miasto autokarem. Mijając ruiny wielkiego budynku przewodnik Wiedeńczyk wyjaśnia - tu się broniły oddziały SS, a na to jeden z naszych z cicha pękł:

- Czy to było austriackie SS?

Na jednym z placów, na piedestale pokrytym czerwonym suknem, pomnik nieznanego sowieckiego żołnierza poległego przy „wyzwalaniu” Wiednia. Wokół kwiaty. Przewodnik wcale się nie krępuje i dodaje, że Wiedeńczycy żartobliwie zwą ten pomnik *ein Denkmal des Unbekannten Räuber*.

Po tylu latach życia pod totalitarnym terrorem pierwszą reakcją musiał być odruchowy lęk. Nikt się nie roześmiał, nikt nie odezwał. Jakby sam fakt usłyszenia takiego „błuźnierstwa” robił człowieka współwinnym.

Jeszcze parę lat temu za taki żarcik można było dostać dożywocie w kopalni złota na Kołymie. Nie podobało mi się, gdy kpiono z poległych żołnierzy, kimkolwiek by nie byli.

Z Wiednia pociągiem do Wenecji. Tyle już napisano o uroku tego miasta, że można się tylko powtarzać. Po wielu latach spędzonych w sowieckim imperium pod komunizmem miało się uczucie, jakby człowiek wyszedł z mrocznej jaskini i zobaczył tęczę.

Na pokładzie parostatku z San Marco do Lido wypatrzyłem amerykańską rodzinę. Oni też byli ciekawi, kim jesteśmy. Jak dotąd, Polaków turystów w zachodniej Europie nie widywano. W naszej

grupie angielskiego nikt nie znał, byłem jak jednooki wśród ślepców. Korzystając z tego, że rodacy zajęci byli podziwianiem Wenecji od strony laguny, wdałem się w rozmowę z Amerykanami, małżeństwem z dwojgiem dzieci. Głowa rodziny, mężczyzna w średnim wieku, znał niemiecki lepiej niż ja angielski. Marysi niemczyzna przydała się. Gdy wyjaśniłem, że za żelazną kurtynę nie wracam i mam zamiar emigrować do Stanów, gdzie przed półwiekiem osiedlił się mój stryj, Amerykanin przedstawił się - profesor Zubrow z departamentu ekonomiki uniwersytetu w Boulders w Colorado, i dał mi swój adres.

W drodze powrotnej z Lido wdaliśmy się w dłuższą rozmowę z Niemcem, nieco starszym ode mnie. Coś w nim było z frontowego żołnierza. Pacyfista i wróg komunizmu. Usłyszawszy, że nie wracamy do Polski, rzekł, iż tacy jak my nie powinni opuszczać kraju, ale działać tam na rzecz obalenia komunizmu. Inaczej zostaną tam tylko ludzie pasywni i nic się nie zmieni. Łatwo było mu to mówić mieszkając na zachodzie. Gdy staliśmy grupą na placu San Marco przesadnie głośno rozmawiając, podeszła do nas siwa pani o młodej twarzy i szczupłej sylwetce i odezwała się piękną przedwojenną polszczyzną. Oświadczyła, że jest mieszkanką Wenecji i taktownie, nie urażając naszej dumy, zwróciła nam uwagę na wysoki decybel naszych głosów. Włosi są sami przesadnie głośni - rzekła, wiedzą o tym i nie mają szacunku dla tych, co są hałaśliwi, aby dodać sobie ważności. Gdy się wyraziła pochlebnie o jednym z nas, który już się oddalił - najwidoczniej sprawił jej przyjemność jakimś komplementem: - ależ to kobieciarz proszę pani - wyjaśnili jej. My, kobiety, odparła - lubimy kobieciarzy, bo nam poświęcają tyle czasu.

Z Wenecji do Bolonii na jeden dzień, a potem Florencja. Nie mając głowy do handlu, mogłem tylko podziwiać tych rodaków, którzy targowali się nie używając jednego włoskiego słowa i nawet wcale nie mając zamiaru kupić. Wskazywali pożądaną towar, sprzedawca pisał cenę, którą nasi poprawiali skreślając zero na końcu albo cyfrę na początku. Nie każdy sprzedawca brał to za żart.

Wielu w naszej grupie wzięło w podróż wszelakie wódki na sprzedaż w Austrii, gdzie jakoby miał być na nie wielki popyt. Okazało się to nieprawdą, musieli pozbywać się towaru za byle jaką cenę. W wolnych chwilach, a takich było niewiele, uganiali się po Wiedniu z butelkami po restauracjach, sklepach i barach. Wymieniali informacje na temat punktów sprzedaży. Przeliczali szylingi na złotówki, co było kwadraturą koła, ponieważ oficjalnej wymiany nie było. Porównywali ceny podobnych towarów w Polsce i Austrii, aby

wyliczyć ile zarabiają i czy zarabiają na tych transakcjach. Pośród towarów, których w Polsce nie produkowano, znajdowały się lalki. Wódek trzeba było pozbyć się w Wiedniu, bowiem im dalej na południe, im cieplejszy klimat, tym więcej wina ludzie piją, a mniej wódki. Nawet sam Wiedeń nie okazał się tak wódkochłonny, jak oczekiwano, a oczekiwano, że zbyt będzie równie dobry jak w Szwecji.

Każdy z nas dostał dziesięć dolarów na drobne wydatki. Dla nas dwojga było to szczególnie ważne, gdyż po odłączeniu się od grupy będziemy musieli radzić sobie sami. Można było prysnąć już w Wiedniu, ale postanowiłem wykorzystać okazję i objechać Włochy razem z całą grupą. Trzeba było tylko uważać, aby się z czym nie zdradzić, a kapusiów pomiędzy nami zapewne nie brakło. Przyglądając się Włochom i upajając się tym krajem, nie spuszczałem oka z moich towarzyszy podróży. Istniało też inne niebezpieczeństwo. UB w Warszawie mogło już aresztować Andrzeja, wpaść na mój trop i zawiadomić kierownika wycieczki.

Z Florencji pędzimy do Rzymu. W autobusie zainstalowana jest syrena. Zaczyna ryczeć, gdy szybkość przekracza 80 km na godzinę. Posuwamy się w żółtym tempie w porównaniu z prywatnymi samochodami. Naszym przewodnikiem po Włoszech jest starszy pan, Polak tutaj zamieszkały, ma w sobie coś z kawalerzysty. Przydrożne reklamy, które jego zdaniem zaśmiejają krajobraz, mnie się podobają, bo kolorowe. Zwłaszcza reklama na wielu stacjach benzynowych w postaci smoka, któremu z paszczy tryska czerwony płomień. Wszystko co nowe podoba mi się, a wszystko jest nowe. Nawet napisy po włosku. Staram się odgadnąć ich znaczenie porównując z łaciną, którą wbijano mi do głowy przez cztery lata. Od czasu do czasu wysiadamy, aby coś ciekawego zobaczyć. Przewodnik rozmawia z szoferem po włosku, kierownik grupy coraz to liczy nas po francusku. Zajeżdżamy do Asyżu. Naszym przewodnikiem po klasztorze jest ksiądz, a może mnich, Polak, jeszcze młody, nie starszy ode mnie. Porusza się energicznie, stawia długie kroki, bardziej maszeruje niż chodzi. Gdy zmienia kierunek, robi to szybko i pod ostrym kątem. Niemal jak na paradzie. Wydaje mi się, że pod habitem ma buty z cholewami. Zagadujemy go o przeszłość. Zamienił mundur na habit. Był w korpusie Andersa, zanim poświęcił się karierze duchowej.

Nasz główny przewodnik w czasie jazdy autobusem zabawia nas różnymi anegdotami, omija temat Polski ludowej i wszystko,

cokolwiek trąci polityką. Raz jednak przy jakiejś okazji zaśpiewał nam żołnierską piosenkę o tym, jak to Polacy bili bolszewika.

Reakcją był brak widocznej reakcji. Pomyślałem sobie, pewnie to jego ostatnia tura z wycieczką z Polski.

W miarę zbliżania się do Rzymu, miejsca i postacie zapamiętane z lektur Liwiusza, Tacyta, Plutarcha, Swetoniusza, z ilustrowanych podręczników sztuki, z „Quo Vadis” Sienkiewicza, ukazywały się coraz żywiej w mojej wyobraźni, jak gdybym oczekiwał wjazdu do stolicy pogańskiego imperium. Pierwsze zaskoczenie już na peryferiach wiecznego miasta - aleja Piłsudskiego, którego w PRL najpierw oczerniono, a gdy to nie pomogło, wymazano z historii. Jakbyś nieoczekiwanie zobaczył podobiznę zaginionego przodka.

Już zbliża się wieczór, gdy autobus zatrzymuje się przed hotelem Regina Marguerita przy ulicy o tej samej nazwie. Obok wejścia, w ogródku przy stoliku siedzą trzy osoby. Siwy pan po pięćdziesiątce, kobieta po czterdziestce i młody mężczyzna. Elegancko ubrani, z miejsca zainteresowali się nami, grupą turystów mówiących językiem, którego nie mogli zidentyfikować. Kierownik naszej grupy porozmawiał z nimi przez chwilę po francusku.

Odczekałem, aż wszyscy Polacy weszli do środka i odezwałem się do siedzących po angielsku. Odpowiedzieli po francusku i poprosili, abym się przysiadł. Przedstawili się. Starszy pan to emerytowany pułkownik armii włoskiej. Kobieta, Luisa Jacob, żona kapitana transatlantyku kursującego pomiędzy Rzymem a Brazylią, mieszka w Sao Paulo, jest lekarzem psychiatrą. Aby dowiedzieć się o sytuacji uciekinierów we Włoszech, dałem do zrozumienia, że nie mam zamiaru wracać. Na to obaj panowie powstali, uścisnęli mi rękę. O ile dobrze pamiętam, usłyszałem „Polonia eroica”. Było to zaledwie w kilka miesięcy po polskim październiku, kiedy to Polacy zdumili świat powstając przeciw czerwonemu molochowi i wygrywając. Kobieta namawiała mnie, abym osiedlił się w Brazylii, ma wielki dom, mogę się u niej zatrzymać, dała mi swój adres. Kilka lat później, gdy opisałem tę scenę przyjacielowi, Włochowi, rzekł: - Miałeś wrażenie, że są po twojej stronie. Włosi mają ten talent, kimkolwiek byś nie był, wydaje ci się, że są po twojej stronie. Panią doktor z Brazylii spotkałem po dwóch dniach. Wyglądała, jakby pół życia z niej wyciekło. Już nie powtórzyła zaproszenia.

Zaszedliśmy do Polaka zamieszkałego w Rzymie przy Via Tembien. Jego adres dała mi przyjaciółka mojej matki. Wydawał się nieprzyjemnie zaskoczony naszą wizytą. Był zresztą w kwaśnym

humorze. Właśnie rozbił swoje auto, a nie miał ubezpieczenia. Zapatrywał się pesymistycznie na możliwości urządzenia się gdziekolwiek we Włoszech. Obozy dla uchodźców są przepelnione, o pozwolenie na pracę niełatwo, o politycznym azylu nie ma co marzyć. On sam planował wyemigrować do Wenezueli, miał kontakty w Caracas. Namawiał, abyśmy wybrali się razem z nim.

W wielkim pośpiechu zwiedzaliśmy Rzym. Wycieczka, razem z podróżą, zaplanowana była na osiemnaście dni, a przed nami jeszcze południowe Włochy, Pompeje, Amalfi, Capri. Przy zwiedzaniu Bazyliki Sw. Piotra dowiadujemy się, że ołtarz z baldachimem Berniniego został zrobiony z brązu wyjętego z Panteonu w siedemnastym wieku. Robię krytyczną uwagę na temat niszczenia tego co wybudowano przed dwoma tysiącami lat. Na to jedna z pań do mnie: Wszystko jest dobre co zrobiono na chwałę Boga.

Zawodowy fotograf, pracujący dla warszawskiej prasy, członek naszej grupy, półgłosem, „na uboczu”, niby to poufnie napomknął, że jeśli kto chce porozumieć się z ambasadą rządu londyńskiego przy Watykanie, to on może pomóc, bo ma kontakty. Kapuś puścił farbę. Wiedząc, że to prowokator, powiedziałem mu, że w Warszawie przedstawię go mojej trzyletniej pacjentce, która wygląda jak miniatura sławnej włoskiej aktorki Massiny, żony Feliniego. Pamiętałem ją z filmu „Noce Cabirii”. Będzie zabawne umieścić w Przekroju ich fotografie obok siebie dla porównania, zasugerowałem mu. Dziewczynka nie tylko wyglądała jak kopia Massiny, ale i miała podobne maniery.

Od dawna przyjąłem zasadę, że w kontaktach z władzami komunistycznymi należy kłamać, umiejętnie. Komuniści rządzą kłamstwem i pięścią. Pięścią nie można się było bronić, bo pięści się nie miało. Wyjawisz prawdę, wiedzą gdzie cię uderzyć; kłamiesz umiejętnie, dla nich to jak walka z cieniem.

Po śniadaniu wymknęliśmy się we dwoje do ambasady rządu londyńskiego przy Watykanie. Oczekiwałem jakiegoś pałacyku z kolumnienkami, tymczasem ambasada mieściła się w zwykłym mieszkaniu. Nasze przybycie o „tak wczesnej porze” najwidoczniej było zaskoczeniem dla gospodarzy. Pracownik ambasady, czy też członek rodziny ambasadora, po zapoznaniu się z celem naszej wizyty poprosił nas do saloniku i zniknął na chwilę. Powróciwszy, poprosił abyśmy zaczekali. Ambasador Papee zapewne jeszcze spał gdyśmy przybyli. Musiał ubierać się w pośpiechu, bowiem gdy

wszedł, choć już w spodniach i pantoflach, na wierzchu miał narzucony szlafrok. Niczym nie ujmowało to jego godności, widocznej w każdym geście i doborze słów.

Wysłuchawszy mnie, ambasador zadał kilka osobistych pytań. Zapewne chciał zorientować się czy nie jestem prowokatorem lub zwykłym kombinatorem. Poradził nam przedostać się do Zachodnich Niemiec, gdzie są Amerykanie. W Austrii i we Włoszech szansę na otrzymanie pracy i politycznego azylu są prawie żadne. Dał nam też adres niejakiego pana Nowaka w Monachium, pracownika Radia „Wolna Europa”. Na zakończenie spytał, ile mamy pieniędzy. Gdy oświadczyłem, że dwadzieścia dolarów, odrzekł: to wam nie wystarczy i dał nam jeszcze dwadzieścia.

Z pobytu w Neapolu utkwiała mi w pamięci taka scena. Siedzę w parku na ławce. Obok mnie 6-7 letnia brunetka. Chcąc popisać się znajomością włoskiego, mówię do niej: *Tu es negra*. A ona na to w tonie nie pozbawionym wyższości i dydaktyzmu: *Non sono negra, sono NERA*.

Po objechaniu południowych Włoch podróż turystycznym autobusem dobiegła końca w Rzymie. Stąd koleją do Wiednia, a w Wiedniu przesiadka na pociąg warszawski. W korytarzu wagonu nasz kierownik wychylając się z okna rzekł do kogoś półgłosem: -, Wygląda na to, że z naszej grupy nikt nie pryśnie.

Byliśmy specjalnie ostrożni, aby nie wzbudzić podejrzeń. Zachowywaliśmy się jak wszyscy inni. Jednak ktoś z naszej grupy coś zauważył.

- A to państwo niczego nie kupują?

- Kupimy coś w Wiedniu - odparłem - na wakacjach, zwłaszcza takich, lubię mieć wolne ręce. Wszyscy już porobili jakieś zakupy. Największym popytem cieszyły się lalki. Takich ozdobnych w Polsce nie było. Jedno młode małżeństwo od razu kupiło lalkę. Potem zobaczyli większą i ładniejszą, i kupili, a potem jeszcze większą i jeszcze ładniejszą, i też kupili. Wydali wszystkie pieniądze, kieszonkowe i co zarobili sprzedając wódki w Wiedniu. Te najdroższe lalki, wystrojone jak księżniczki, piszczały, mrugały, mruczały. Zbyteczne lalki zawsze można było wymienić w kraju na inny towar, na żarówkę, na czajnik, na budzik.

Marysia, choć wiedziała, że pryskamy, musiała się bać nieznanego, bo raz napomknęła - może teraz wrócimy do kraju, a zostaniemy na zachodzie następnym razem. Nic nie wiedziała o sprawie Andrzeja zamieszanego w aferę szpiegowską.

Pociąg przybył do Wiednia o siódmej rano. Pośpieszny do Warszawy odjeżdżał w południe. Walizki mieliśmy złożyć do specjalnego pomieszczenia na peronie zamiast w przechowalni, gdzie trzeba było płacić. Zamiast złożyć nasze walizki tam, gdzie wszyscy, oświadczyłem, że biorę je do przechowalni. Zaskoczonemu kierownikowi wyjaśniłem, że zostajemy jeszcze trzy dni w Austrii, że jadę do Salzburga, aby tam spotkać mojego przyjaciela z czasu wojny i powstania, obecnie amerykańskiego dziennikarza. Gdyby się pytał o szczegóły, miałem zamiar podać nazwisko Edka, przyjaciela z lat 1944-45, towarzysza powstańczych walk i ucieczki na zachód. Nie mogłem wiedzieć, że Edek w tym czasie wyjeżdżał z Niemiec do Polski swym mercedesem.

Z dworca wszyscy pomknęli do miasta na ostatnie zakupy.

Pokręciwszy się nieco po mieście ze względu na wczesną porę poszliśmy na Weyrgasse do córki przyjaciółki mojej matki, tej, która zrobiła mi znak krzyża na czole, gdy na warszawskim dworcu wsiadałem do wiedeńskiego pociągu. Córka, młoda kobieta, była wyraźnie speszona naszą wizytą. Widocznie bała się, że się do niej zwalimy, a przy tym może czuła się niezbyt pewnie w roli trzeciej żony. Kandydatka na czwartą już mogła ukazać się na horyzoncie. Nawet nie poczęstowała nas herbatą czy kawą. Męża nie było w domu, więc umówiliśmy się na popołudnie.

Jeszcze przed wyjazdem Andrzej prosił mnie, abym w jakiś sposób sprawił wrażenie na kierowniku grupy, że się nie urywam, że wracam do Polski za parę dni. Czyżby sądził, że będzie to korzystne dla jego sprawy? Postanowiłem zjawić się na dworcu jeszcze przed odjazdem pociągu, aby uczynić zadość prośbie Andrzeja i aby dostać suchy prowiant, naszą wałówkę na drogę. Ostatni posiłek mieliśmy w Rzymie poprzedniego wieczora. Brakowało dwudziestu minut do odjazdu pociągu, gdy weszliśmy na peron. Nasi współtowarzysze wycieczki znajdowali się już w środku wagonu i wyglądali przez okna. Zaskoczenie naszym przybyciem było widoczne. Czyżby wydawało im się przez chwilę, że dołączamy? Żywności nie dostaliśmy, nasze paczki już podzielili pomiędzy sobą, tak nam w każdym razie powiedziano. Do wagonu oczywiście nie wszedłem. Mogliby mnie przytrzymać, ogłuszyć, dać zastrzyk nasenny. Na peronie ich się nie bałem. Nie odważyliby się próbować porwać nas na oczach policji, zresztą siłaczy pomiędzy nimi nie było. Kierownik „Francuz” wyszedł z wagonu nam na spotkanie: No, powiedzcie prawdę, pryskacie czy nie pryskacie?

Wiedziałem, że musiał w naszej sprawie złożyć raport w Warszawie, a może już i na samej granicy i nie chciał się pomylić. Gdy, siląc się na uprzejmość, powtórzyłem bajkę o amerykańskim dziennikarzu i że wracamy za trzy dni, złość zaczęła w nim wzbierać. Wydusił z siebie:

- Mam nadzieję, że będziecie godnie reprezentować honor Polaków.

Teraz we mnie złość zaczęła wzbierać.

- Co pan przez to rozumie - odparłem.

Nie odpowiedział i zawrócił do pociągu.

Peron opustoszał. Pociąg mógł ruszyć lada chwila. Staliśmy oboje na wprost ich wagonu, o kilka kroków tylko. Oni wyglądali z okien, twarze zwrócone w lewo, w prawo, odwrócone od nas. Unikali naszego widoku, naszego wzroku, jakby bali się, aby nasze i ich spojrzenia nie spotkały się. Jakbyśmy wydzielali, jak słońce, promienie zdolne przepalić ich źrenice. Nas i ich dzieliło zaledwie kilka kroków, a już przedzielała nas i ich żelazna kurtyna. Przed nami świat stał otworem, oni wracali do klatki. Wtem ze stopni wagonu zeskoczył młody mężczyzna, dziennikarz. Podszedł, uściśnął nam ręce: - Życzę wam wszystkiego najlepszego - rzekł. A za nim śpiewak warszawskiej operetki, i on nam życzył wszystkiego najlepszego. Rozległy się wołania „einsteigen”. Gwizd lokomotywy. Pociąg drgnął. Koła zaczęły się obracać, wolno. Jeszcze nie było za późno, jeszcze można było zeskoczyć z wagonu na peron. Staliśmy prowadząc pociąg oczami, aż zniknął w oddali. Nim słońce zajdzie, zobaczą pałac kultury i nauki imienia Stalina.

Poszliśmy do naszej znajomej Polki. Jej mąż był już w domu. Tym razem poczęstowano nas herbatą czy kawą z wiedeńskim biszkoptem. Pan Oskar poradził nam pojechać do Salzburga, gdzie jego znajomy jest właścicielem fabryki o nazwie Wulkan. Z nutą moralnej wyższości, a może i zazdrości dodał, że zna on dobrze tamten teren, bo szmuglując przez granicę zbił majątek.

Pożegnawszy się z rodakami poszliśmy do parku, kupiwszy po drodze coś do zjedzenia. Pociąg do Salzburga odchodził dopiero przed samą północą. Mieliśmy dość pieniędzy na kupno biletów do Salzburga, ale nie do Monachium, gdzie planowaliśmy zgłosić się do pana Nowaka z Radia „Wolna Europa”. A co robić z walizkami? Szkoda było je porzucić, mieliśmy tam niezbędne przedmioty codziennego użytku, zmiany bielizny. Walizki można było nadać pociągiem i odebrać je w Monachium, ale na to trzeba było okazać

bilet do Monachium, a na kupno biletu do Monachium nie wystarczało nam pieniędzy. Po naradzie w parku ułożyliśmy taki plan. Marysia spróbuje nadać walizki do Monachium pokazując bilet do Salzburga. Gdy jej odmówią powie, że mieszka w Monachium, ale ma spotkać mamusię w Salzburgu, spędzić tam dwa dni, a potem obie razem wrócą do Monachium. Gdyby się zapytali o adres, da adres pana Nowaka. Gdyby zażądali paszportu powie, że paszport ma mamusia, bo boi się, że ona go zgubi. Walizki miały naklejki włoskich hoteli, co wskazywało, że jest autentyczną turystką.

Ustawiłem walizki przy kontuarze i ulotniłem się. Tłum podróżnych kłębił się, więc nikt by nie zwrócił na mnie uwagi. W czasie wojny Marysia chodziła do niemieckiej szkoły. Na Górnym Śląsku mówienie po polsku, nawet w domu, było niebezpieczne. Gdy wojna skończyła się, niemiecki znała lepiej od polskiego, więc teraz mogła uchodzić za Niemkę. Gdy stojąc z dala w ogromnej hali dworcowej obserwowałem „rozwój wypadków”, ktoś odezwał się do mnie po polsku. Odwracam się, a to inżynier z naszej grupy.

- A co pan tu robi - pytam.

- Jadę do Salzburga - powiada.

- A pan dokąd - on z kolei pyta, jakby nie wiedział.

- Do Salzburga - mówię. Czyżby wysłali go, aby nas śledził?

- A gdzie żona - pyta inżynier.

Wyszła na miasto, powinna zaraz wrócić.

Boję się, jeśli zobaczy Marysię, podejdzie do niej, odezwie się po polsku i cały plan diabli wezmą. Mogą nawet wezwać policję.

Stoję zwrócony ku Marysi, on stoi przede mną, widzieć jej nie może, ma ją za plecami. Więc podtrzymuję rozmowę z inżynierem, choć zupełnie się nie klei, aby tylko nie obrócił się. Jednym okiem patrzę na niego, drugim widzę Marysię. Coś jej tam nie idzie. Rozmawia przy kontuarze, coś pisze, znowu rozmawia. Nie mogę mu powiedzieć, żeby się odczepił. Minęło dwadzieścia minut, pół godziny. Marysia wciąż przy kontuarze. Tłum ludzi przewija się przy kontuarze, coraz to ją przesłaniają. To ją widzę, to jej nie widzę. Czyżby się do niej przyczepili i nie może się wymknąć? Zerkam w jej kierunku tylko od czasu do czasu, aby nie ściągnąć na nią uwagi inżyniera. On udaje, że znalazł się tu przypadkowo, na wiele godzin przed odjazdem pociągu do Salzburga, a ja udaję, że nie wiem o co chodzi. Gdyby go tu nie było, podszedłbym do Marysi, udając, że jej nie znam, a tak to muszę zabawiać tego szpiega. Nie wyglądał na konfidenta UB. Niczym się dotąd nie zdradził.

Trudno opisać, jaką ulgę odczułem, gdy Marysia odeszła od kontuaru. Widząc inżyniera, od razu odgadła o co chodzi. Pozbyliśmy się go mówiąc, że idziemy odwiedzić znajomych. Odczepił się. Musiał zachować jakieś pozory, inaczej jego rola byłaby oczywista, choć i tak była. Co do tego sam nie powinien mieć wątpliwości.

Marysia swoją rolę zagrała znakomicie. Walizki przyjęli na transfer do Monachium. Całe opóźnienie spowodowane było tym, że za pierwszym razem źle wypełniła formularz i straciła swoją kolejkę. Była młoda i ładna i to być może jej pomogło. Podobno w Austrii, gdy przed żołnierzem stojącym na warcie przejdzie ładna dziewczyna, to się do niej uśmiechnie, zrobi oko. Nigdy w Prusach.

Wszystko szło jak z płatka. Pozbyliśmy się szpiega. Bilety do Salzburga w kieszeni.

Nadchodził ciepły, bezchmurny wieczór. Słońce zachodziło, zastępowały je światła żyjącego miasta, tysiące świateł. Postanowiliśmy uczcić pierwszy dzień nowego życia na wolności. Poszliśmy do Prateru. Noc zapadła, kolorowe światełka mrugają. Rozbawione tłumy. Kręcą się karuzele. Wsiadamy do „podziemnej kolejki”, zawiezie nas w świat upiorów. Napis ostrzega, że wstęp tylko dla tych z silnymi nerwami. Kolejka wije się w ciemności, coraz to rozjaśnianej blaskiem ostrego światła, poprzez jaskinie i zakamarki. Szkielety wyskakują ze szczelin, zwisają ogromne pająki, wampiry, widziadła o gorejących oczach, ptaszyska o krwawych szponach.

Z Prateru na dworzec. Już blisko północy, zbity tłum na peronie, mroczno. Nagle słyszę: - dobry wieczór państwu - to inżynier. Pociąg przystanął, powstało zamieszanie, zgubiliśmy go. Po kilku godzinach rozwidnia się, Salzburg. Jest piąta rano. Trzeba odsiedzieć na stacji co najmniej do ósmej. Jeszcze poczekalnia nie całkiem się opróżniła, gdy przysiadł się do nas inżynier. I znowu zaczyna się towarzyska rozmowa, która się nie klei. Zastanawiam się, jakie instrukcje otrzymał w polskiej ambasadzie. Nie może nas zadenuncjować do miejscowej policji jako nielegalnych, bo austriacka wiza turystyczna w naszych paszportach jest wciąż ważna. Inżynier nadal stara się sprawić wrażenie, iż znalazł się tu przypadkowo, że nas nie szpieguje, a jednocześnie próbuje wyciągnąć ze mnie informacje o celach naszej podróży.

Co robić, jeśli będzie szedł za nami jak pies aż do samej granicy. Chyba nie ma przy sobie rewolweru.

Nadal gramy w pokera bez kart. Kto kogo zapędzi w kozi róg, kto pierwszy puści farbę. Powtarzam bajkę o amerykańskim dziennikarzu, który ma czekać na nas w hotelu.

Na to inżynier, niby to mimochodem, pyta: A w którym hotelu zatrzymał się pański przyjaciel?

Pewnie myślał, że mi zadał cios, po którym się nie pozbieram: że mnie zapędził w kozi róg, zaszachmatował, i że się zająknę, zapłaczę; że moje kłamstwo wyjdzie jak szydło z worka.

Mogłem strzelić na ślepo: „w Grand Hotelu”. Mogło się udać, bo Grand Hotele są wszędzie, ale to by tylko przeciągało grę w pokera i to na moją niekorzyść. Mogłem mu zwyczajnie powiedzieć to, co chciał usłyszeć, że pryskamy. Wtedy złożyłby w ambasadzie w Wiedniu i warszawskim UB odpowiedni meldunek z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i w oczekiwaniu wyróżnienia. Mogłem też z uśmiechem zapytać: - Wydaje mi się, że pan nas śledzi - czy pan nam nie ufa? Zabrakło mi odwagi doprowadzić do konfrontacji. Była to zabawa w kotka i mysz.

I choć byłem już w wolnej Austrii, sam fakt spędzenia sześciu lat pod Hitlerem i dwa razy tyle pod komunizmem, sprawiał, że wciąż czułem się myszą, a on reprezentował kota. Te osiemnaście dni na wolności nie wystarczało, aby otrząsnąć się z mysich nawyków nabytych w ciągu osiemnastu lat życia spędzonych pomiędzy pazurami kotów.

Mylił się, jeśli myślał, że zapędził mnie w kozi róg. Dostał taką kontrę, po której już się nie pozbierał. Na jego pytanie rzucone niby to mimochodem: - A w którym hotelu zatrzymał się pana przyjaciel? - powiadam: nie wiem... miał mi zostawić wiadomość na poste restante, a pocztę otwierają najwcześniej o ósmej.

Po dłuższej chwili milczenia odezwał się:

- A to państwo idziecie na miasto? Można by było się przejść.

- Nie, zostajemy w poczekalni, jest dopiero po piątej.

Więcej już się do niego nie odezwałem. Inżynier nie mógł znaleźć pretekstu, który by uzasadniał jego siedzenie obok nas. Po kilku minutach ciszy wstał i oddalił się. Czyżby w poszukiwaniu telefonu, aby połączyć się z ambasadą w Wiedniu?

Gdy tylko zniknął, wyszliśmy i my. Po dziewiątej zjawiliśmy się pod wskazanym przez pana Oskara adresem w przedsiębiorstwie Wulkan. Było to nowocześnie urządzone biuro przyległe do małej fabryki. Właściciel, pan Radzyner, masywny, wysoki, otyły, szpakowaty, ostrzyżony na jeża, nie dał nam długo czekać, gdy

usłyszał nazwisko swojego byłego wspólnika z Wiednia. Mówił po polsku jako tako. Obaj panowie wynieśli chyba jakieś wzajemne urazy z czasu, gdy byli partnerami, bowiem grubas już w pierwszym zdaniu okazał zainteresowanie losem kolegi z Wiednia:

- A na której żonie on teraz jest, jeszcze na trzeciej?

Po czym przystąpiliśmy do sedna sprawy. Według niego przejść granicę było łatwo. Wyciągnął mapę.

- Pojedziecie trolejbusem do Grosse Gemeinde. Tu jest przejście przez granicę i szlaban... - wskazał palcem. Obejdziecie bokiem, strażnicy wcale nie patrzą.

Kupiliśmy kompas, mapę, i w drogę.

Na miejscu, w Grosse Gemeinde, podeszliśmy do przejścia granicznego. Obejść go się nie dało z powodu dobrej widoczności. Pośród otwartej przestrzeni stały jakieś domki, może należące do straży granicznej. Nie tędy droga. Cofnęliśmy się i przysiadłszy jeszcze raz przyjrzelśmy się mapie. Z dala od przejścia granicznego, może o kilometr, gęsto rosły krzaki, a dalej ciemniał las. Las przecinała szosa. Granica biegła skrajem szosy po naszej stronie. Jezdnia już była w Niemczech. Ruszyliśmy w krzaki, trzymając się za ręce jak zakochana para, nasłuchując i rozglądając się dokoła i wkrótce znaleźliśmy się w lesie.

Zerkąłem na kompas. Niebo zasnuwały chmury i nie można było orientować się po położeniu słońca. Okrążając kępę krzaków nagle wyszliśmy wprost na budkę strażnika pomalowaną w pasy. Oczekiwałem okrzyku „Halt”, jeśli nie „Hande hoch”. Cisza. Budka była pusta. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i ukazał się skraj lasu, szosa oraz barak - jeszcze w Austrii. Nagle lunął deszcz. Jakiś mężczyzna, który wziął się nie wiadomo skąd, skrył się pod okapem baraku w chwili, gdy już zamierzaliśmy wejść na szosę.

Nie mając odwagi przekroczyć granicy na jego oczach, musieliśmy udawać, że także chronimy się przed deszczem. Stałem tak, aby Marysia znalazła się pomiędzy nim a mną, na wypadek gdyby się odezwał. Szczęściem okazał się człowiekiem mało mównym lub dyskretnym. Może pomyślał, że nas z krzaków wypłoszyła ulewa. Po kilku minutach deszcz ustał równie nagle jak zaczął padać i mężczyzna oddalił się, a my przeszedłszy niezbyt ruchliwą szosę, zagłębiliśmy się pomiędzy wzgórzem porośnięte lasem. Po dwóch godzinach wyszliśmy na tę samą szosę, ale już z dala od granicy. Zaczęliśmy machać przejeżdżającym samochodom i wkrótce zatrzymał się volkswagen. Młody mężczyzna, milczek,

podwiózł nas kilkadziesiąt kilometrów w kierunku Monachium. Następny kierowca, nieco starszy ode mnie, rozmawiał z Marysią cały czas. Wcale nie ukrywała celu naszej podróży i kim jesteśmy. Poradził, abym się nie przyznawał władzom niemieckim do udziału w Powstaniu Warszawskim. Trzeci auto-stop podwiózł nas do centrum miasta.

Pan Nowak mieszkał w nowoczesnej kamienicy. Gdy nacisnąłem odpowiedni guzik, ku memu zaskoczeniu usłyszałem głos nad moją głową. Takiego urządzenia w Polsce jeszcze nie widziałem. Gdyśmy wyjaśnili o co chodzi, wpuszczono nas do środka. Pan Nowak, po czterdziestce, właśnie miał gościa, młodego mężczyznę. Obaj bardzo zainteresowani sytuacją w kraju. Ten młodszy zdziwił się, że uciekamy teraz, kiedy w Polsce wszystko ma się ku lepszemu. I nietaktem, i błędem taktycznym w tej sytuacji byłoby spytać go czy sam zamierza powrócić do kraju. Pan Nowak radził nam zgłosić się do Amerykanów zamiast do władz niemieckich. Z tego co mówił wynikało, że istnieje jakiś system dwuwładzy, jakby Zachodnie Niemcy były jednocześnie i okupowane, i niepodległe. Gospodarz zaofiarował się zawieźć nas do Amerykanów, których dotąd jeszcze nie widzieliśmy. Po drodze musiał wskazywać taksówkarzowi, którędy jechać, a nam wyjaśnił. „To są skutki picia piwa przez pięćset lat, taksówkarze nie pamiętają rozkładu ulic i uważają, że pasażer powinien im pomagać”. Już zmierzchało, gdy samochód zatrzymał się przed willą w eleganckiej dzielnicy. Napis nad wejściem oznajmiał: *Haus der Deutsch - Amerikanischer Kultur*. Pan Nowak wszedł na chwilę, porozmawiał, i zostaliśmy przyjęci. Pomimo późnej pory dom amerykańsko-niemieckiej kultury nie był wyludniony. Jego mieszkańcy, młodzi mężczyźni, pomimo cywilnego ubioru sprawiali wrażenie wojska. Tak samo krótko ostrzyżeni, w białych koszulach, spodnie odprasowane pod ostry kant, krawaty wpuszczone do środka pomiędzy trzecim i czwartym guzikiem. Ze sobą mówili po angielsku, słyszało się i niemiecki. Poczęstowali nas kolacją. Dali nam pokój na mansardzie. Chyba byliśmy jedynymi autentycznymi cywilami w tym domu kultury.

Po śniadaniu zaczęło się przesłuchanie po polsku, niemiecku i angielsku, bez żadnego nacisku, przez dwóch młodych mężczyzn z krawatami wpuszczonymi do środka między trzecim a czwartym guzikiem. Jeden z nich przedstawił się jako Ukrainiec.

Podzielając powszechne wśród Polaków uprzedzenia w stosunku do wszystkich Ukraińców, poczułem się nieco niepewnie.

Od razu opisałem sprawę Andrzeja, tajemniczego pana Stasia i dałem im adres skrzynki pocztowej pana Szuberta w Paryżu, który miałem zapisany w notesie. Dopiero później zrozumiałem, że popełniłem kardynalny błąd. Gdyby UB aresztowało mnie na granicy, byłby to dowód czarno na białym o przynależności do szpiegowskiej siatki. W czasie wojny zwano to obciachem. Inny przykład obciachu. Facet ma doskonale podrobiony fałszywy dowód osobisty, z fotografią i pieczęciami, jak należy. Problem w tym, że przy rewizji znajdują też drugi, doskonale podrobiony, z jego fotografią, na inne nazwisko.

Amerykanów interesowało, kto należy do UB, a gdy podawałem nazwiska, chcieli wiedzieć jak doszedłem do tego wniosku. Interesowało ich położenie sowieckich jednostek wojskowych, a jeśli wiedziałem, to pytali czy sam widziałem, czy słyszałem od innych. Mieszkając tymczasowo u wuja w Ursusie musiałem wychodzić z domu przed siódmą, gdy on szedł do pracy. Nie miał do mnie dość zaufania, aby zostawiać mi klucz do drzwi. Zaczynałem pracę dopiero o ósmej. Jeśli deszcz nie padał, mając dużo czasu, wysiadałem na dworcu zachodnim i szedłem na Działdowską. Był to długi spacer przez teren nie zamieszkały. Stały tam baraki, magazyny. O tej wczesnej porze nie było żywego ducha. Pewnego razu, gdy mijalem barak w małym ogródku otoczony płotem, utrzymany bardziej starannie niż inne, z jego drzwi wyszedł wojskowy w sowieckim mundurze i za chwilę wszedł z powrotem. Przechodziłem koło tego baraku wiele razy i nigdy nie zauważyłem żywego ducha. Doszedłem do wniosku, że tutaj musiał być jakiś punkt służący specjalnym celom. Radiologiem kliniki na Działdowskiej był profesor Rowiński, partyjny i wysoko postawiony w kołach rządzących polską medycyną. Często jeździł za granicę. Raz, wróciwszy z Budapesztu, w zaufaniu wyjawiał swej asystentce, ładnej dziewczynie, a ta powtórzyła mi, że na Węgrzech miał miejsce wypadek i zanieczyszczenie terenu substancjami radioaktywnymi. Amerykanie szczególnie interesowali się rozmieszczeniem sowieckich jednostek i sprawami atomowymi. Powiedziałem o sowieckim oficerze i o wypadku na Węgrzech. Wątpię, czy to przedstawiało jakąś wartość dla amerykańskiego wywiadu, ale może to służyć za przykład jak tajemnice mogą przeciekać do wroga przez nieostrożność i gadulstwo.

Systematycznie wypytywali o nazwiska członków rodziny i przyjaciół i co robią. Gdy doszło do mojego brata, inżyniera

pracującego w instytucie lotnictwa, obaj Amerykanie zaczęli się szczegółowo dopytywać o niego, włączając jego rodzinę. Wiadomo, dlaczego. Gdy doszło do jego żony, na pytanie jakie ma ona poglądy polityczne, powiedziałem - lewicowe. A gdybyśmy wysłali kogoś do brata, czyby ona powiadomiła UB. Nie wiem, odparłem. Za żadną cenę nie chciałem dopuścić do tego, aby brata wpakowali tak jak Andrzeja, w szpiegowską aferę. Odpowiedź „nie wiem” była lepsza niż „tak”, bowiem „nie wiem” jest wystarczającym ostrzeżeniem, a „tak” może nasuwać podejrzenie, że celowo przesadzam. Daliśmy Amerykanom pokwitowania na odbiór bagażu nadanego w Wiedniu i po paru godzinach walizki z całą zawartością, znalazły się na mansardzie.

Mogliśmy chodzić po całej willi, nikt nam nie powiedział, gdzie nie powinniśmy postawić nogi.

Przesłuchania odbywały się rano i po południu. Marysia zauważyła, że chociaż wiedzieli, iż ona mówi płynnie po niemiecku, a ja trochę po angielsku, różni członkowie załogi domu kultury, niby to omyłkowo, zwracali się do niej po angielsku, a do mnie po niemiecku. Po południu nasz „opiekun” powiadomił nas, że mamy wolne na resztę dnia, i że możemy pójść do miasta, obejrzeć film, i dał nam kilka marek na kupno biletów. Był to pierwszy film oglądany na wolnym zachodzie i dlatego pamiętam i tytuł, i treść. *„Alarm im Weltall”*. Akcja ma miejsce na innej planecie, gdzie wylądowali i zagospodarowali się ziemianie. Jakieś straszliwe, prawie niewidzialne człękoksztaltne maskary, wzrostem przerastające najwyższe drzewa, atakują obóz ziemian. Widać je nieco wyraźniej, gdy pociski wystrzelwane przez ziemian wybuchając odbijają się od ciał maskar. Przy końcu filmu tajemnica wyjaśnia się. Profesor, kierownik ekipy, ma młodą, urodziwą córkę. Córka ma narzeczonego, też członka ekipy. Profesor jest zazdrosny, ale o tym nie wie. Jego podświadome oddziela się od jego świadomego i atakuje obóz ziemian. Bardzo mi się ten film podobał. Czegoś podobnego nie widziałem. Wkrótce przekonałem się, że zachód był zasypany takimi pseudopsychologicznymi produktami Hollywoodu.

Oczekiwałem, że Amerykanie przekażą nas do obozu dla politycznych uchodźców. Słyszałem o istnieniu takich obozów, wspomniał o nich i pan Nowak. Po dwóch dniach jednak przewieźli nas samochodem do Norymbergi. Naszą nową siedzibą była elegancka duża willa z basenem pływackim, położona na skraju miasta. Tutaj nie byliśmy sami. Oprócz Amerykanów znajdowało się

tu ze dwudziestu uchodźców spoza żelaznej kurtyny, samych mężczyzn, głównie z Węgier i Czechosłowacji. Amerykanie mówili wieloma europejskimi językami. Ich szefem był tysiejący, nieco otyły, wzbudzający zaufanie szatyn w średnim wieku. Mówił po polsku kalecząc język. Rozmowy-przesłuchania odbywały się rano i po południu i nie trwały długo. W wolnym czasie, a tego było w bród, można było pluskać się w wodzie bądź też siedziało się wokół basenu i próbowało rozmawiać z naszymi współuchodźcami, jakimkolwiek językiem się dało. Amerykanie też się pluskali i udzielali towarzysko, jeśli czas im na to pozwalał. Smakowite posiłki serwowano trzy razy dziennie. Wyglądało to bardziej na kurort niż na placówkę kontrwywiadu. Naszym „opiekunem” był szef. Gdy mu zacząłem opowiadać o Andrzeju, nie okazał żadnego zainteresowania. Wyciągnąłem stąd wniosek, że wie, i że stara się zniechęcić mnie do mówienia o tym. Szef, miły człowiek, opowiadał, jak to się męczył w specjalnej szkole - domyśliłem się -wywiadu, gdzie musiał wkuwać kilka języków naraz na przyspieszonym kursie.

Nie wiedziałem, dlaczego nas tu przerzucono, gdyż mało czasu nam obojgu poświęcali. Wśród uciekinierów, zresztą młodych, wyróżniał się ruchliwością, powiedziałbym nerwową, blondas w moim wieku, Czech mówiący płynnie po niemiecku. Okazało się wkrótce, że to Niemiec mówiący płynnie po czesku. Nauczył się języka spędziwszy dwanaście lat w czeskim więzieniu. Wyrok opiewał na trzynaście, ale zwolnili go wcześniej i pozwolili wrócić do zachodnich Niemiec, gdzie mieszkał jego brat, śpiewak opery monachijskiej. Polaka ciekawi, co Niemiec robił w czasie wojny. Spytałem go. Był ranny, i to kiedy, w czasie powstania, w Warszawie, 19 sierpnia, w walce o kwadratowy starożytny budynek, a więc chyba Arsenał. Właśnie schylił się, aby podnieść z ziemi dziecko, gdy kula przeszła mu udo. Nie miał o to żalu; ten, który go postrzelił, widocznie nie rozpoznał jego intencji. A w jakim oddziale służył... w szkole oficerskiej z Poznania. Ta jednostka walczyła na Starym Mieście na odcinku bronionym przez mój batalion Chrobry I. Od jeńców dowiedzieliśmy się, że była to szkoła SS, ale po wojnie wyczytałem, że była to jednostka mieszana, SS i Wehrmachtu. Harry Linkę, bo tak się zwał, twierdził, że był w Wehrmachcie.

Był to weekend i Harry zaprosił nas na piwo do sławnej norymberskiej *bierstuby*. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem rozbawionych Niemców. Dotąd widziałem tylko maszerujących.

I tak los sprawił, że ten co strzelał do mnie trzynaście lat temu, był pierwszym składającym mi życzenia imieninowe na wolnym zachodzie, u progu nowego życia. Smutek wзираł mu z twarzy pomimo udawanej wesołości. Z gimnazjum niemal wprost do więzienia. Trzydzieści trzy lata i poza wojną i kratami życia nie widział. Chciałem się więcej od niego dowiedzieć o wojnie, zwłaszcza o powstaniu, ale niechętnie o tym mówił. Szef zauważył, żeśmy się z Harrym zaprzyjaźnili. Gdy stałem sam, podszedł i powiedział, abym był z nim ostrożny. Nie potrzebował mi radzić. Sam się zastanawiałem, czy Harry przed wypuszczeniem z więzienia i do tego do zachodnich Niemiec, nie musiał podpisać jakiego zobowiązania współpracy z komunistycznym wywiadem.

Po tygodniowym pobycie w Norymberdze przewieźli nas do Frankfurtu, tym razem pociągiem, i umieścili w prywatnym mieszkaniu, na parterze w nowym bloku, w dwóch pokojach z kuchnią i z tarasem. Cisza panowała tam taka jakby nie było innych lokatorów - a może i nie było. Wkrótce zjawił się nasz nowy opiekun, w średnim wieku i średniego wzrostu, ani chudy, ani gruby, po cywilnemu i bez krawata. Wyjaśnił, jaka jest jego rola i przedstawił się - Nowak. Tych Nowaków, Nowacków, Novaków jest bez liku, zamieszkują wszystkie kontynenty, nie wiadomo którzy nabyli to nazwisko przy urodzeniu, a którzy później.

Nasz Nowak mówił po polsku z amerykańskim akcentem.

Prosił, abyśmy nie wychodzili na miasto. Gdyby nas zatrzymała niemiecka policja, oni, Amerykanie, mieliby kłopoty z tłumaczeniem, dlatego nie zgłosiliśmy się do władz niemieckich zaraz po przekroczeniu granicy.

Pan Nowak zjawił się punktualnie rano i po południu na pogawędki ze mną. Wszystko go interesowało. Znajomi, przyjaciele, krewni, ich żony i dzieci, współpracownicy, co robią, co myślą. Zadawał te same pytania co jego poprzednicy, tylko bardziej szczegółowe, a ja dawałem te same odpowiedzi co dawniej, tylko bardziej szczegółowe. Żar lał się z nieba. Przychodząc był już cały mokry. Zalewając się potem spędzaliśmy godziny na naszych niekończących się rozmowach.

Któregoś dnia, zatrzymawszy się dłużej na moim ojczymie, lekarzu, zmarłym przed dwoma laty, spytał czy należał do partii. Aha, pomyślałem, Nowak już wie. Ojczym był w partii, więc powiedziałem, że był. Dotąd pan Nowak nie pytał o czyjąkolwiek przynależność do partii. Najwidoczniej przejęczył się. Na pewno cierpiał więcej od

nas z powodu upału, bo musiał pracować. Być może wyczerpanie odbiło się na jego koncentracji i wymknęło mu się, co wiedział. Z tego wyciągnąłem wniosek, że Amerykanie mogą wiedzieć o mnie więcej niż ja sam im powiedziałem.

Raz na dzień przychodziła służąca, Niemka, sprzątała, napełniała lodówkę jedzeniem i napojami. Zapewne do jej obowiązków także należało składanie raportów z tych wizyt. Pierwszy raz w życiu miałem całe mieszkanie do własnej dyspozycji i to ze służącą i z lodówką. Jako student i już jako lekarz gnieździłem się w podnajętych pokojach. Gdy jesienią 1953 roku dostałem z ministerstwa zdrowia służbowe przeniesienie z Elbląga do kliniki dziecięcej w Warszawie, przydziałowi pracy nie towarzyszył przydział dachu nad głową. Wysiadałem na dworcu warszawskim w październiku, z walizką w ręku, jako bezdomny. Każdego dnia wychodząc z pracy po południu zastanawiałem się, gdzieby tu znaleźć nocleg. Miałem znajomych na Sadybie Czerniakowskiej, na bliskim i dalekim Grochowie i na Żoliborzu. Walizkę trzymałem u brata, który mieszkał w jednym pokoju z żoną i dzieckiem. Wiedziałem, że znajomi zawsze mnie przyjmą, ale aby się nie naprzykrzać, nie zjawiałem się na dłużej niż trzy kolejne noce. Sypiałem na materacu na podłodze, w kuchni, w korytarzu, w przedpokoju. W podręcznej teczce nosiłem maszynkę do golenia, szczoteczkę i pastę do zębów, i zmianę bielizny. Minęły dwa miesiące, zbliżało się Boże Narodzenie, a ja wciąż szukałem dachu nad głową. Noc zapadała wcześniej. Chodząc ciemnymi ulicami mijałem stojące pośród ruin odbudowane domy. Światło wypadające z okien rozpraszało mrok. Wpatrując się w okna zasłonięte firankami wyobrażałem sobie jak tam jest za szybą... ciepło, łóżko, radio, półka z książkami... może tam mieszka samotna kobieta. Czasem śnieg sypał, płatki płąsały i wirowały na wietrze w kręgu światła - przychodziło mi na myśl opowiadanie Andersena o dziewczynce z zapałkami.

Byliśmy niejako więźniami w tym przegrzonym mieszkaniu. Jedyne, jeśli to można nazwać rozrywką, były wizyty pana Nowaka. Nie interesował się życiem Marysi, widocznie uważając, że nie ma ona własnych sekretów, a nie zna moich. Nieraz późną nocą wymykaliśmy się na miasto w najbliższą okolicę, nie wyjściem na ulicę, gdzie ktoś mógłby nas zauważyć, ale tyłami przez opłotki i teren tylko częściowo zabudowany, nie zamieszkały i mroczny. Wzdłuż opustoszałych ulic stały zaparkowane olbrzymie

amerykańskie samochody, lśniące w świetle jarzeniowych lamp. Neony mrugały wieloma kolorami. Na mruganie neonów mruganiem odpowiadały samochody. Ostry blask neonów odbijał się od ich wypucowanej powierzchni jak od krzywych zwierciadeł. Po szarzyźnie i półmroku miast za żelazną kurtyną widok ten urzekał. Gapiliśmy się z zachwytem mieszkańców dżungli pierwszy raz widzących kolorowe błyskotki.

Ta część miasta musiała być doszczętnie zburzona, wszystko było nowe i nowoczesne. Słyszałem, że gdy w ostatnim miesiącu wojny Amerykanie podeszli do Frankfurtu, wezwali miasto do poddania. Niemcy odpowiedzieli ogniem. Amerykanie cofnęli się i wezwali swoje lotnictwo. Dopiero gdy miasto zostało zburzone bombami, ukazały się białe flagi. W Polsce uważano takie postępowanie za właściwe, był to komplement pod adresem Amerykanów, że się nie dali wciągnąć w krwawą bijatykę szturmując miasto. Gdy opowiedziałem to panu Nowakowi, zaprzeczył. Zareagował, jakbym oskarżał jego armię o bezmyślne zniszczenie miasta.

Pewnego razu pan Nowak przyszedł z lekarzem. Osłuchał mi klatkę piersiową, zajrzał do gardła, zadał kilka pytań i poszedł. Innym razem panu Nowakowi towarzyszył psycholog. Przeprowadził ze mną test na inteligencję. Nie szło mi dość dobrze, więc zrobiłem uwagę na temat, jakby wypadł Churchill w takim teście. Obaj zalewaliśmy się potem. Próbowałem zrzucić odpowiedzialność za słabe (moim zdaniem) wyniki na upał. Zastanawiałem się, jakie plany Amerykanie mają w stosunku do mojej osoby. Może będą chcieli wysłać mnie do Polski z jakąś misją - przyszło mi do głowy. Wolałem, aby nie padła taka propozycja, abym nie musiał jej odrzucić. Więc raz w rozmowie z Marysią celowo podjąłem ten temat i głośno oświadczyłem, przekonany, iż podsłuch był zainstalowany w mieszkaniu, że nawet gdyby mi zaofiarowali pół miliona dolarów, to i tak nie pojedę. Celowo powiedziałem... pół miliona zamiast milion. Milion tak jest spowszedniały w codziennym użyciu, że już nie sprawia wielkiego wrażenia. Hitler zagazował cztery miliony Żydów, a może sześć. Stalin zagłodził na śmierć na Ukrainie sześć milionów, a może dziesięć. W Chinach żyje osiemset milionów, a może tysiąc milionów. W Ameryce mówią - *you look like a million*, (świetnie wyglądasz) Hollywood roi się od milionerów. Za to nigdy nie słyszy się, że ktoś jest półmilionerem lub trójmilionerem czy stumilionerem.

Innego dnia pan Nowak przyprowadził niskiego, krępego faceta o włosach ulizanych pod górę, z walizką w ręku. Dla uproszczenia nazwę go niziołkiem. Niziołek, specjalista od wykrywania kłamstw, czyli mówiąc krócej, kłamczucholog, wyjął z walizki różne druty, instrumenty i sprężynę. Podłączył mnie do drutów, a pierś okręcił mi sprężyną, jak się domyśliłem służącą do mierzenia oddechu.

Niziołek zaczął mi zadawać pytania (pan Nowak tłumaczył na polski) o moją sympatię. Myślałem, że chodziło mu o dziewczynę, w której kiedyś podkochiwałem się, zanim ożeniłem się z inną. Wykrywacz kłamstw był nieprzyjemny w obyciu, tak różny od innych Amerykanów. Te głupie pytania, sposób w jaki je zadawał i ton głosu najpierw mnie podenerwowały, a potem poirytowały, więc czasem umyślnie brałem głęboki oddech, by mu utrudnić pracę. Poniewczasie okazało się, że Niziołkowi chodziło nie o dziewczynę, tylko o moje komunistyczne sympatie w 1945 roku.

Wspomniałem Nowakowi, że uczę się angielskiego. Na to on poradził mi, abym lepiej wziął się za niemiecki. Czyżby wiedział, że nas nie wpuszczą do Stanów?

Po bez mała dwóch tygodniach we Frankfurcie przewieźli nas z powrotem do „kurortu” w Norymberdze. Na nasz widok *chef* wręcz oniemiał. Wydawał się tak zaskoczony, jakby nas zobaczył skutych kajdanami. Najoczywiściej nie oczekiwał naszego powrotu, a czego oczekiwał, do dziś nie wiem. Pobyt w „kurorcie” był krótki i po paru dniach znaleźliśmy się w Valka Lager, w obozie dla uchodźców pod zarządem władz Republiki Federalnej. Amerykanie wytłumaczyli nam, że inaczej nie możemy otrzymać odpowiednich dokumentów i prawa pobytu w Zachodnich Niemczech. Amerykanów nie było tu ani na lekarstwo. Obóz wyglądał jak obóz. Skupisko drewnianych baraków otoczone ceglany murem. O ile pamiętam, szczytu muru nie zdobił ani drut kolczasty, ani też tłuczone szkło w cementowanej sztorc, jak w murze warszawskiego getta. Otwartych bram nie pilnował nikt. Długie, parterowe baraki pozbijane z desek byle jak.

W ścianie naszego pokoju, a poprawniej komórki, znajdowała się szpara. Wpadał przez nią promień księżycy rozjaśniając wnętrze, zwłaszcza podczas pełni. Dwie prycze, krzesło, stolik i żelazny piecyk w kącie, z rurą wychodzącą na zewnątrz. Nasi poprzednicy poprzyklejali do ścian całe stronicy gazet, zapewne aby zapobiec przeciągom. Ściany zdobiły też wycinki z kolorowych magazynów. Na jednym z nich mężczyzna, dość młody, reklamował się jako

specjalista od udzielania rad jak osiągnąć szczęście i powodzenie w życiu. Jego fotografia miała dowodzić, że on sam osiągnął oba. Spoza pięknie wykrojonych rozchylnych warg, w lekkim uśmiechu ukazywał równy rząd nieskazitelnie białych zębów. Przedziałek w jego nieskazitelnie uczesanych włosach prosty był jak ostrze noża. Na ścianie wisiała też kolorowa reklama: *Trink Coca Cola, das erfrischt*. Ten napis był nawet bardziej powszechny niż portrety państwowych dostojników w Polsce Ludowej. Współmieszkańcami obozu byli uciekinierzy z krajów komunistycznych, nawet z Albanii, tak w każdym razie wszyscy twierdzili. Z Polaków spotkałem tylko jednego, poznał mnie po półbutach kupionych w Warszawie. Jego zdaniem takiego świetnego obuwia nigdzie indziej nie robiono.

Uciekinierów ze wschodu Europy często dało się odróżnić od miejscowej ludności po szerokich nogawkach, a także po żelaznych zębach na samym przodzie lub nagich dziąsłach. Interpol i kontrwywiad zajmowały się wyławianiem kryminalistów i szpiegów. Wielu uchodźców przesłuchiwał angielski, francuski i amerykański kontrwywiad, mną żaden się nie zainteresował, za to Niemcy kilkakrotnie wzywali mnie na rozmówki. Te same pytania powtarzały się, albo robili to celowo, aby porównać, co kiedy człowiek powiedział, albo różne agencje ze sobą się nie komunikowały. Chodziłem na rozmowy z niemłodą Rosjanką. Zainteresowała się moją znajomością angielskiego, gdzie się uczyłem i ile czasu. Zadała mi kilka niewinnych pytań, których dokładnego celu nie mogłem odgadnąć, choć podejrzewałem jakiś podstęp.

- Jak jest po angielsku winda? - spytała.

Nie wiedziałem.

- A jak nazywa się ta blacha, która pokrywa motor samochodu?

- Nie wiem, powiadam, nigdy nie miałem samochodu i nawet nie jestem pewien jak to się nazywa po polsku ... zdaje się że maska, przypomniało mi się.

- A benzyna?

- Chyba *benzine*.

Kiedyś, wchodząc do gabinetu mojego nowego interrogatora, już nie pamiętam czy oniemiałem, czy też stanąłem jak wryty, a może zdębiałem, na widok aktora grającego śmierć w filmie Bergmana „Siódma pieczęć”. To już nie było tylko podobieństwo, to była kopia. Oglądałem ten film dwa razy i to niedawno. Trudno

znaleźć słowa oddające to, co jego twarz wyrażała. Pewne, że wywierała większe wrażenie niż kostucha z kosą w ręku.

Mówił po polsku bezbłędnie i bez akcentu. Na wstępie poradził mi abym nie usiłował kłamać w dalszym ciągu, bo wszystko co dotąd mówiłem „nie klapuje”. Musiałem się czuć jak ten rycerz z „Siódmej pieczęci” grający w szachy ze śmiercią o swe życie. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że przecież nie jestem aresztantem, i że on mi nic nie może zrobić, że to nie jest gra o życie i w miejsce strachu zaczęła wzbierać złość. Może to zauważył, pod koniec przesłuchania zrobił się przyjemniejszy w doborze słów, choć niczego nie utracił ze swego wyglądu.

Niemal nieograniczona ilość wolnego czasu sprzyjała rozwojowi życia towarzyskiego. Główną jednak trudnością był brak wspólnego języka. Łamana niemczyzna, i to dobrze połamana, służyła jako *lingua franca*. Czego tam człowiek się nie nasłuchał. Spotykaliśmy się najczęściej przy pompie po posiłkach przy myciu statków i „srebra stołowego”.

W Valka Lager nie brakło osobników bez żadnych dokumentów. Trzeba było wierzyć ich słowu zaczynając od ich daty urodzenia. Zaprzyjaźniliśmy się z jednym z nich, lat około czterdziestu, imieniem Grigorij, krócej Grisza. Jego przygody były na głowę najtragiczniejsze doświadczenia innych uchodźców spoza żelaznej kurtyny. NKWD aresztowało go. W czasie transportu na wschód wyskoczył z pociągu w biegu. Dostał postrzał w dłoń, ale uciekł. Odtąd wędrował na zachód kierując się słońcem, księżycem i gwiazdami. Zwykle szedł nocą, dniami spał w lesie, w zbożu, gdziekolwiek się dało. Czasem udało mu się wskoczyć na towarowy pociąg jadący w zachodnim kierunku. Żywił się kradnąc. Podkradał się do krów na pastwisku i doił je. Przeprowadził się przez jedną rzekę, drugą, trzecią. Minał Polskę, zobaczył niemieckie znaki drogowe, ale nie znając ani języka, ani geografii, wciąż nie wiedział, gdzie jest, sądził iż dotarł do wschodnich Niemiec. Doszedł do wielkiej rzeki, przypuszczał, że to Łaba, granica między Sowietami a Amerykanami, i gdy się rozglądał jakby tu się przeprowić, złapała go niemiecka policja. Tą rzeką był Ren. Nikogo ze współuchodźców nie przekonał. Młode chłopaki, Słowacy, co rozumieli rosyjski, śmiali się za jego plecami, że to sowiecki szpieg udający uciekiniera. Zdawał się rozumieć niemiecki więcej niż tylko ten skromny zasób słów, do którego się przyznawał. Będąc inteligentnym człowiekiem, a

takie wrażenie sprawiał, nie mógł oczekiwać, aby ktokolwiek uwierzył w jego fantastyczną opowieść.

Znał dobrze rosyjską literaturę, a że i ja znałem ją dobrze, jak na Polaka, więc wiedliśmy rozmowy na temat autorów i bohaterów. Recytował wiersze Puszkina, a zwłaszcza drugie kawałki z „Ewgienija Oniegina”, ja też się popisywałem tym co zapamiętałem z czasu, gdym się uczył rosyjskiego na Puszkinie. Podobnie jak i innych wzywano go na przesłuchania. Raz dał mi pięć marek. Gdy wyraziłem wątpliwości, czy powinienem przyjąć ten dar od człowieka bezdomnego, który sam nic nie posiada, odrzekł, że zarobił trochę pieniędzy pracując na czarno, czyli nielegalnie, *nach schwartz*. Mieszkańcy Valka Lager nie mieli prawa pracy w Republice Federalnej. Z Marysią doszliśmy do wniosku, że był on agentem zachodniemieckiej policji; że celowo nieudolnie odgrywał rolę uciekiniera ze Związku Sowieckiego, aby sprawić wrażenie (sądzę tylko na niezbyt bystrych), iż jest sowieckim szpiegiem. Blizna na dłoni wydawała się być zbyt stara jak na ranę otrzymaną stosunkowo niedawno. Pewnego dnia zniknął. Brakowało go nam. Wkrótce ukazała się o nim wzmianka w miejscowej gazecie. Według tego artykułu, Grigorij był Niemcem o nazwisku Georg Schuld, zamieszkałym w Republice Federalnej, który nauczył się rosyjskiego będąc jeńcem wojennym w Sowieciech. Miał on zalegać z alimentami na utrzymanie dziecka i groziła mu sprawa sądowa. Więc aby uzyskać nowe dokumenty, zgłosił się do władz podając się za Rosjanina i uciekiniera ze wschodu. W gazecie tę fałszywą informację podano po to, aby ukryć jego prawdziwą funkcję w obozie.

Poznaliśmy jeszcze jednego Rosjanina. Mieszkał niedaleko i przychodził z wizytą. Dostał się do niemieckiej niewoli i zdołał się ukryć pomiędzy Polakami, gdy zaraz po wojnie Anglicy i Amerykanie siłą deportowali na wschód byłych sowieckich obywateli Stalinowi w podarunku. Też dał mi pięć marek.

Pomimo ludzkiej zbieraniny, od Adriatyku i Czarnego Morza do Bałtyku, w obozie panował spokój, bójek nie było. Osobną grupę stanowili Albańczycy, sześciu czy siedmiu, trzymali się na uboczu. Ich mowy nie dało się zrozumieć. Najstarszy spośród nich wyróżniał się lepszym ubiorem. Mówiono, że ma pieniądze. Trudno odgadnąć, jak ta informacja przedostała się do wiadomości ogółu i od kogo. Jednego dnia zniknął i wkrótce odnaleziono go w pobliskim lesie. Gardło miał poderżnięte, a oczy wykłute nożem. Ubranie było rozprute, zapewne w poszukiwaniu kosztowności. Podejrzewano

pozostałych Albańczyków, między innymi dlatego, iż wśród nich powszechny był przesąd, że w oczach ofiary utrwala się wizerunek zabójcy. Przesłuchiwała ich policja. Po kilku tygodniach aresztowano dwóch.

W obozie światła elektrycznego nie było. Z zapadnięciem nocy cisza i ciemność ogarniały Valka Lager. Zwykle po północy budził nas wesoły śpiew, zawsze ten sam, kończący się refrenem: *Oh Frau komm zurück, du bist mein umglück* (O żono wróć, tyś mym nieszczęściem jest). To jeden z obozowiczów, Niemiec, wracał zalany i w ten sposób dawał wyraz swym mieszanym uczuciom do swej nieobecnej małżonki. W księżycowe noce dwóch ich szło, on i jego cień, i obaj się zataczali. Widać było jego sylwetkę na tle jaśniejszej, piaszczystej drogi biegnącej środkiem obozu. Struny głosowe dopisywały mu lepiej niż nogi: jak wiadomo sznaps wzmacnia to pierwsze, osłabia drugie. Usiłował krokiem marszowym pokonać dystans dzielący go od jego „kwatery” położonej na odległym krańcu obozu, posuwał się zygzakiem, co jeszcze przedłużało ten nocny koncert. Bywało, że i przystanął, chyba dla nabrania oddechu albo aby się rozejrzeć - te kilkadziesiąt baraków wyglądało identycznie nawet za dnia. Po stylu wokalnego wykonania można było poznać byłego żołnierza. Podczas gdy słowa piosenki dotyczyły stosunków rodzinnych, jej rytm przywodził na myśl oddział piechoty w marszu.

Raz wybraliśmy się w kilkanaście osób, by zwiedzić tajemniczy stadion. Doszliśmy tam o zachodzie słońca, co jeszcze potęgowało wrażenie uroczyska. Stadion ten miał być największy na świecie, jakoby na czterysta tysięcy widzów-uczestników. Tu miała się odbyć parada zwycięstwa po zakończeniu wojny. Budowy zaprzestano, gdy wojna wzięła zły obrót. Centralną część stadionu otaczał krąg masywnych dziesięciopiętrowych wież. W środku każdej miały znajdować się pomieszczenia sypialne dla tysięcy osób. Niektóre wieże były ukończone, podciągnięte do dachu, niektóre ledwo zaczęte; inne rozbite w czasie działań wojennych, rozsypywały się. Stadion Zwycięstwa zarastały kwiaty polne i zielisko. Miał w sobie coś ze starożytnych ruin sprzed dwóch tysięcy lat, choć nie miał jeszcze dwudziestu.

Aby nie sprawiać przyjaciom w Polsce kłopotu, Marysia pisywała tylko do swojej matki, ja do mojej, a także i do Andrzeja, bo tego sobie życzył. Oczekiwaliśmy, że nasze listy znajdą się na czymś biurku w UB. Będą je oglądali pod światło, prasowali gorącym

żelazkiem, posypywali specjalnym proszkiem, aby uwidocznic niewidoczny atrament. Moje listy zawierały tylko zdawkowe informacje. Poszedłem do lasu i zbierałem borowiki, zaciął się zamek w ubikacji i aby się wydostać musiałem wspinać się po przepierzeniu i nadwerzężyłem sobie ramię. Zapewne jakiś szyfrant w UB trudził się nad moimi tekstami w poszukiwaniu ukrytej treści. Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że tajnego szyfru doszukiwali się przede wszystkim odbiorcy moich listów. Otrzymałem wiadomość, że Edek zamieszkał u Andrzeja, a potem przyszedł list od matki z Gdańska - Edek zatrzymał się u niej. Wiedząc, jak swym zachowaniem potrafi wzbudzić podejrzenia nawet u najbardziej ospałego policjanta, a co dopiero mówić o UB, które żyje z podejrzenia, obawiałem się, że wpakuje w kłopoty mojego brata. Brat Konrad, młody lekarz, dopiero co został powołany do marynarki wojennej z przydziałem do jednostki na Wybrzeżu i wciąż mieszkał u matki. Napisałem więc do niej, aby była ostrożna, bo Edek to podejrzany charakter. Przypadek sprawił, że Edek nic nie wiedząc o sprawie Andrzeja, już samą swą obecnością w tym czasie stwarzał atmosferę podejrzeń wokół każdego z kimkolwiek się stykał. UB zapewne jakoś łączyło moją ucieczkę z jego przyjazdem do Polski i z siatką szpiegowską sięgającą do Paryża.

W odpowiedzi na nasze podanie o przyznanie azylu politycznego wezwano nas na przesłuchanie w sądzie. Procedura odbywała się w języku niemieckim, tłumacz przekładał na rosyjski, odpowiadałem po rosyjsku. Chcieli wiedzieć, dlaczego uciekliśmy z Polski. Nie mogłem wyjawic sprawy Andrzeja, aby moje oświadczenie nie dostało się do rąk sowieckiego wywiadu, przekonany, że wszędzie we władzach są szpiegowie ze wschodu.

Nieoczekiwanie zaczęli się dopytywać o mój udział w powstaniu, czy byłem w służbie sanitarnej, czy też na linii i czy strzelałem do Niemców. Jeden z żydowskich pisarzy miał powiedziec: „Niemcy nigdy nie wybaczą nam holocaustu”. Czy też Niemcy kiedykolwiek wybaczą Polakom?

Marysia w odpowiedzi, dlaczego uciekła z Polski, wybrała argument często używany przez kobiety: „Nie chcę, aby mi dzieci wychowali na komunistów”. Na co spytali: „A ile ma pani dzieci?” „Jeszcze nie mam”.

Nasze podanie o azyl polityczny odrzucono. Otrzymaliśmy dokument o nazwie *Fremdenpass* upoważniający do pobytu i pracy w Republice Federalnej. Posiadacze azylu politycznego dostawali

Reiseausweis upoważniający do swobodnego podróżowania poza granice Niemiec Zachodnich i do pracy w swoim zawodzie. Ja mógłbym pracować jako lekarz bez konieczności nostryfikacji mojego dyplomu. Gdyby Marysia zadeklarowała się jako Niemka, ja otrzymałbym azyl polityczny.

Po aresztowaniu Andrzeja złożyliśmy odwołanie, które odrzucono motywując to tym, że nie wymieniliśmy sprawy Andrzeja za pierwszym razem. Można było jeszcze odwołać się do sądu najwyższego Bawarii, co kosztowało pięćdziesiąt marek. Nie było nas na to stać, a rezultat był wątpliwy. Zdaniem Polaków w tych sądach zasiadali hitlerowcy.

Miało się ku jesieni, gdy nas przeniesiono do obozu w miasteczku Zirndorf w pobliżu Norymbergi. Jego mieszkańcy byli już sprawdzeni przez kontrwywiad i Interpol. Obóz składał się z kilku solidnych budynków. Za komendanta, czyli *lagerleiters*, mieliśmy byłego kapitana artylerii nazwiskiem Krödel. Nic złego o nim nie słyszałem. Raz podobno się uniósł, dotknięty tym, że jego podopieczni wolą się uczyć angielskiego zamiast niemieckiego. Miał podobno powiedzieć - jeszcze język niemiecki będzie najważniejszy w Europie. Wolno było pracować i dobrze to było widziane. Pracującym potrącano drobne sumy za wikt i dach nad głową. Nasze podanie o przydział zimowych palt i butów odrzucono.

Na terenie obozu działały trzy organizacje „charytatywne”. Używam cudzysłowu ze względu na późniejsze doświadczenia. Ich zadaniem czy misją było pomagać uchodźcom w załatwianiu spraw emigracyjnych do innych krajów. Były to: katolicka NCWC, Polish American Immigration Committee i trzecia - ponadnarodowa i ponadwyznaniowa. Czynnimi byli też kwakrzy, pomagali ludziom w znalezieniu pracy, w osiedleniu się poza obozem, ale nie byli upoważnieni do załatwiania spraw emigracyjnych. Wszystkie trzy organizacje były finansowane w teorii przez ONZ, w praktyce - Amerykanów. Jak to później zrozumiałem, zależało im na jak największej liczbie podopiecznych, ponieważ organizacje opiekuńcze otrzymywały pieniądze w ilości proporcjonalnej do stanu pogłowia, czyli od łebka.

Planując emigrację do Stanów Zjednoczonych musieliśmy zgłosić się do jednej z nich. Już zdecydowaliśmy się na tę bezwyznaniową, do polskich organizacji nie mając zaufania (sam ukulem powiedziałem „pomóc nie pomogą, a zaszkodzić mogą”), gdy do naszych drzwi zastukała przystojna brunetka. Była nią pani Polak,

czy też Polack, a może Pollack, Niemka nie znająca polskiego, reprezentantka NCWC w obozie. Zaproponowała nam swoje usługi. Na moje oświadczenie, że nie mamy i nie zamierzamy brać ślubu kościelnego, upewniła nas, że to absolutnie nie stanowi przeszkody i że NCWC chętnie weźmie nas pod swoją opiekę. Zapisaliśmy się więc do NCWC będącej, jak się wydawało, bardziej aktywną organizacją niż dwie pozostałe. Olśniony Zachodem sądziłem, że instytucje są tu jeśli nie uczciwe, to bez miary uczciwsze od tych na wschodzie, a słowne przyrzeczenie przez organizację religijną nie jest pisane palcem na wodzie. Będąc człowiekiem religijnie niezaangażowanym, miałem wielkie uznanie dla polskiego kościoła katolickiego za jego postawę w walce z sowieckim molochem.

Gültig für den auf der Rückseite bestätigten Monat!

Lagerausweiskarte Nr. 748-

Herr Jan KURDZIANOWSKI
(Vor- und Zunamen)

7.10.1924 Warschau/Polen
(Geburtsdatum) (Geburtsort)

Zimmer Nr. 05 ist im

Sammellager für Ausländer Zirndorf
untergebracht.

Der Ausweis ist beim Passieren des Lagers unaufgefordert den Kontroll-Organen im Lager vorzulegen.

Zirndorf, den 21.5.57.

Handwritten: Sammel-lager für Ausländer Zirndorf u. Nbg.



Trzeba było rozejrzeć się za pracą. Wszystko, co mieliśmy, to letnie ubrania, a robiło się coraz chłodniej. Rodziny z dziećmi i nie zatrudnieni mogli liczyć na zapomogę. Szukałem zajęcia mającego jakiś związek ze służbą zdrowia. Niedoszły emigrant do Izraela, Miecio Zeliger, poradził mi zwrócić się do kwaków. Kwakrzy załatwili mi *interview* w wielkiej kompanii produkującej lekarstwa w Kolonii i pokryli koszty przejazdu. Praca miała polegać na doświadczeniach na zwierzętach. *Interview* odbywało się po niemiecku, z mojej strony łamaną niemczyzną. Byłoby mi łatwiej dogadać się z byłym SS-manem znając nazwy wszelakiej broni z czasów drugiej wojny światowej oraz podstawowe czasowniki opisujące jej użycie. Przy okazji obejrzałem sobie sławną katedrę, jeszcze nie odbudowaną po wojennych zniszczeniach. Trafiła ją amerykańska bomba. Od czasu powstania mam sentyment do ruin.

Pracy w Kolonii nie dostałem. Powodem była, według kwaków, obawa, iż po wyjeździe z Niemiec mogę przekazać sekrety kompanii jej konkurentom. Marysi nie poszło lepiej. Władając językiem jak Niemka szukała pracy lepszej niż czarnorobocza w fabryce. W gazetach było wiele ogłoszeń o wolnych pozycjach ekspedientek w sklepach, pomocy biurowej. Kilka razy po rozmowie z właścicielem przedsiębiorstwa już została przyjęta. Na zakończenie poproszono ją o dowód osobisty, a gdy pokazała *fremdenpass*, z którego wynikało, że jest Polką, pracodawca, bez zająknięcia nagle wycofywał swą ofertę zatrudnienia mówiąc, że jeszcze ma kilka innych kandydatek czekających na *interview*. I na tym się kończyło. Nie mając innego wyboru, poszła do pracy w fabryce. Jak wynikało z doświadczeń innych uchodźców, Polacy mieli najniższą lokatę u miejscowej ludności niemieckiej. Znacznie wyżej stali Ukraińcy, Łotysze, Estończycy, a także Litwini. Nawet Rosjan mniej nie lubiano od Polaków. Jeśli chodzi o Żydów, trudno było powiedzieć co Niemcy o nich myśleli, jedno było widoczne, starali się unikać oskarżeń o antysemityzm.

Po nieudanej wyprawie do Kolonii i mnie nie pozostało nic innego jak szukać zatrudnienia w fabryce. Nadarzyła się jednak okazja pracy u Amerykanów, w kuchni, jako pomywacz. Planowałem emigrację do Stanów Zjednoczonych, więc to mnie jakoś zbliżyło do celu. Byłaby też okazja poduczyć się angielskiego. Najpierw należało zgłosić się do niemieckiego urzędu pośrednictwa pracy o nazwie *Arbeitsamt*, takiej samej jak tego, co w czasie okupacji wyłapywał ludzi i wysyłał do Reichu na przymusowe roboty. Starszy, uprzejmy pan wyjaśniał mi po angielsku moje obowiązki i prawa związane z pracą w kuchni... po trzech miesiącach pracy przysługuje mi trzy dni płatnego urlopu, po sześciu siedem, po roku piętnaście... po pięciu latach... W tym momencie połapał się, przerwał, niemal uśmiechnął i rzekł: „Pan jest lekarzem, nie będzie pan tam długo pracował”.

Celem urzędu pracy była ochrona praw robotnika i eliminacja osobników bez odpowiednich dokumentów. W zasadzie obowiązywał 46-godzinny tydzień pracy, pół dnia w sobotę.

Mój pierwszy dzień pracy zarobkowej na wolnym zachodzie zaczął się o godzinie siódmej rano, a może o szóstej, zanim jeszcze żołnierze, po spożyciu śniadania, zaczęli oddawać do mycia metalowe tace oraz tzw. srebro stołowe. Przedstawiłem się szefowi pomywaczy. Zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem i rozkazał umyć kubły stojące na podwórzu przy pomocy szlauchu czyli *water hose*.

Moje nadzieje, że przy tej pracy poduczę się angielskiego nie spełniły się i skończyły się na „water hose”. Z Amerykanami żadnego kontaktu nie było poza wzrokowym. Szef zespołu był Węgrem, pozostali pomywacze wywodzili się z Bałkanów, jeśli do Bałkanów zaliczyć także Rumunię i kraj czardasza. Porozumiewali się albo łamaną niemczyzną, albo w ich ojczystych niezrozumiałych językach. Jeden tylko szef mówił po angielsku, trudno mi było powiedzieć jak dobrze, bo nic nie rozumiałem, gdy rozmawiał z Amerykanami przez okno do jadalni. Szef zwracał się do załogi o stanie około dziesięciu po niemiecku, do niektórych, jak odgadywałem, po węgiersku. Ton wypowiedzi wskazywał, że nie tolerował niesubordynacji. Po sześciu latach nauki moja angielszczyzna, przydatna do czytania medycznych artykułów, zupełnie zawodziła w kuchni. Zaledwie uporałem się z kubłami, pośród pokrzykiwań „schnell, schnell”, szef skinieniem ręki wezwał mnie do środka. Pomiędzy pomieszczeniem, gdzie się zmywało, czyli zmywalnią a jadalnią, czyli *messhall*, znajdowało się szerokie okno z szerokim parapetem, gdzie żołnierze składali brudne utensylia, metalowe tace, łyżki, noże, widelce. Tace miały przegródki, w jedną można było włożyć jajecznicę, w drugą szpinak, w trzecią konfitury itd. Moim nowym zadaniem było wytrząsanie i wyskrobywanie resztek jadła do wielkich kubłów oraz oplukiwanie tac i srebra stołowego strumieniem gorącej wody w zlewie. Potem wrzucało się to żelastwo do wielkiej maszyny, gdzie podlegało ono ostatecznemu myciu, dezynfekcji i suszeniu. Musiało się pracować w szalonym tempie, góra tac nieustannie rosła na parapecie. Zaledwie jedna grupa żołnierzy skończyła śniadanie, następna wchodziła do jadalni.

Brzęk i szcęk zderzających się noży, łyżek, widelców i tac, pomieszany z gwarem wpadającym z jadalni przypominał bitewny zgiełk znany z historycznych filmów o treści batalistycznej. Szef czasem poganiał i strofował krótkim warknięciem, zwłaszcza mnie, nie sądzę aby z powodu mojej opieszałości. Pozostali pomywacze już się znali, ja będąc nowy, dostawałem najbrudniejszą robotę. Podobno Polak i Węgier mają być jak dwa bratanki. Przed rokiem razem powstaliśmy przeciw sowieckim okupantom. Trzeba przyznać szefowi, że w krytycznych momentach sam zakasywał rękawy. Po godzinie, pomimo całej ostrożności i gumowego fartucha, moje ubranie, które widziało Wiedeń, Wenecję, Florencję, Rzym i Capri, przypominało ścierkę do podłogi. Przed południem jadalnia opustoszała i tempo pracy opadło. Jeszcze należało wyszorować

podłogę, a potem można było opłukać twarz i ręce, na chwilę przysiąść na skrzyni, przegryźć co się samemu przyniosło z domu. Oficjalnie darmowe posiłki nam nie przysługiwały. Pomywacze nie mieli wstępu do jadalni, zapewne dlatego, że ociekali pomyjami. Sprzątanie jadalni należało do obowiązków sprzątaczy. Klasowo stali oni wyżej od pomywaczy i nie pomagali nam w zmywaniu.

Przyszedł czas amerykańskiego obiadu między wpół do pierwszej a drugą. Brudne tace zaczęły się piętrzyć na parapecie. W przegródkach zalegało więcej jedzenia niż po śniadaniu. Wyrząsałem, wyskrobywałem, opłukiwałem w zlewie pod kranem, sikawka, już nie zwracając uwagi na stan mojego ubrania. Ledwo uporaliśmy się z obiadem, przyszedł czas kolacji. Już ściemniało się na dworze, a myśmy się wciąż uwijali pośród stosów noży, łyżek, widelców i tac, wpadając w poślizg na mokrej podłodze. Minęło 8 godzin pracy, 10, 12, aż zapadła noc. Szef stał się uprzejmniejszy, zaczął traktować mnie podobnie jak innych. Może w jego oczach zdałem chrzest bojowy na pomywacza.

Teraz, gdy budynek opustoszał i nikogo z wyższych władz nie było, za pozwoleniem i przy współudziale szefa sięgnęliśmy do kotłów, gdzie pozostały resztki nie spożytego jedzenia i siedząc na skrzyniach i na czym popadło mieliśmy prawdziwą ucztę w odprężonej atmosferze, bez widma dalszej pracy tego dnia. Do kolacji serwowano żołnierzom lody w opakowaniu. Wielu z nich ledwo je napoczęło i tace były zavalone topniejącymi lodami. Niektóre pudełka, choć otwarte, nie były napoczęte, odkładaliśmy je na bok, aby później zjeść bądź wypić ich zawartość. Minęło prawie czternaście godzin, zanim z pola widzenia zniknęły noże, widelce, łyżki i tace. Podłoga, zlewy, parapet lśniły czystością. Już zbieraliśmy się do wyjścia, gdy jeden z pomywaczy dał mi całe narzędzie puszek z konserwami - na wynos. Grzecznie odmówiłem, ale nalegał, więc wybrałem płaskie, bo lepiej pasowały do kieszeni i zbytnio nie wystawały. Gdy już wszyscy obładowali się konserwami, grupą ruszyliśmy ku wyjściu z koszar, gdzie w bramie stał wartownik. Przechodziło się obok niego pojedynczo. Czyżby niczego nie zauważył? Następnego dnia nie poszedłem do kuchni. Płaca była niższa, a godziny pracy dłuższe niż u Niemców. Trzeba było konserwami dokradać do pensji za długie nadgodziny pracy. Gdyby mnie złapali przy kradzieży, a na pewno wpadłbym pierwszy, nie należąc do sitwy, znalazłbym się na liście Interpolu jako złodziej i nie dostałbym wizy imigracyjnej ani do USA, ani do żadnego innego

kraju, chyba że do Iraku. Tam płacili dobrze, pokrywali koszty długich zagranicznych wakacji, ale wysyłali cię do pracy w malaryczne moczary.

Pracę pomywaczy mieli wykonywać żołnierze, nazywało się to *kitchen personel*, czyli KP. Był to najgorszy przydział. Z własnego doświadczenia wiem, że lepiej doglądać latryn. Żołnierze, zamiast sami harować w kuchni, opodatkowali się i wynajmowali cywilów pomywaczy. Zwyczajny szeregowiec zarabiał siedemdziesiąt dolarów na miesiąc, a jeśli-miał żonę i dzieci w Stanach, otrzymywał dodatek rodzinny.

W obozie nieustającym tematem rozmów była emigracja. Najbardziej pożądane były: USA, Kanada, Australia. Nowa Zelandia przyjmowała tylko Anglików. Zachodnioeuropejskie kraje nie chciały żadnych emigrantów, ale można było zostać w Niemczech. Poza tym cały świat stał otworem. Spitzbergen potrzebował ludzi do kopalni węgla, także lekarzy - byłoby ciekawe spędzić tam jeden rok i zobaczyć polarną noc. W Kanadzie można było dobrze zarobić przy wyrębie lasów na północy posługując się siekierą, bo związek zawodowy nie pozwalał używać benzynowych pił łańcuchowych. Można było ryzykować wyjazd w niepewne do łacińskiej Ameryki z wyjątkiem Meksyku, bo ten nie wpuszczał biednych białych. Napisałem do Maroka i Tunisu. Pierwsze było gotowe przyjąć mnie od razu do pracy jako lekarza, drugie pod warunkiem znajomości francuskiego lub arabskiego. Żadne nie wymagało egzaminów.

Poznałem Antoniego Ornafa, Polaka zatrudnionego w fabryce aparatów radiowych Metz. W 1957 roku przeszedł on z żoną Łużyczanką i pięciorgiem dzieci ze Wschodniego Berlina do Zachodniego wracając z wizyty w Saksonii, gdzie mieszkali jego teściowie. Trudno było dotrzeć do Wschodniego Berlina, za to już w samym mieście zwyczajnie wsiadało się do metra po wschodniej stronie i wysiadało po zachodniej. Tą drogą uciekło z sowieckiej strefy milion czy dwa, aż po śmierci Stalina Chruszczow zamknął to jedyne wolne przejście na Zachód. Ornafo udało się niemal w ostatniej chwili. Ornaf, chemik, aktywny wśród miejscowej Polonii, usłyszawszy o moich doświadczeniach w roli pomywacza, porozmawiał z kimś w dyrekcji fabryki Met-za i poradził mi zgłosić się tam do pracy.

W obozie mieszkało jeszcze kilka rodzin z Polski. Bracia Zeliger -starszy, Mieczysław, inżynier, z rozwiedzioną żoną i dzieckiem w Izraelu; młodszy, technik, z żoną Polką. Przeżyli getto w

Łodzi i Oświęcim. Wyjechali z Polski jako emigranci do Izraela i zeskoczyli ze statku w Kopenhadze. Dania deportowała ich do Niemiec. Ci, co z Mieczysławem zadzierali, dostawali przyjazne ostrzeżenie: Kto z Mieciami wojuje, od Mieciami ginie. Żyd warszawski Stefan Kohn z żoną Polką, synem i matką; Polak rzeźnik z żoną Niemką; inżynier Polak podający się za Niemca, choć nie znał języka; przyjaciel Kohna Edgar, Żyd berliński wyrosły w Polsce, dobrze władający polskim, choć z obcym akcentem - znalazł się w obozie dla cudzoziemców z powodu jakichś administracyjnych powikłań. Stefan Kohn, wraz z matką i starszym bratem, ukryli się po polskiej stronie jeszcze przed likwidacją getta. Po upadku Powstania Warszawskiego nie wyszli z resztą ludności, a ukryli się gdzieś na północ od Alei Jerozolimskich. Stefan miał wówczas dwanaście lat. Cisza zapadła nad cmentarnym miastem, ani strzałów, ani ludzkich głosów. Jedli to, co znaleźli w niespalonych mieszkaniach i po piwnicach, szczury mając za konkurentów. Czasem, nie każdego dnia, słyszeli odgłos kroków od ulicy, zapewne patrole. Oczekiwali wkroczenia Rosjan lada dzień. Mijały dni, tygodnie, robiło się coraz zimniej, śnieg zaczął prószyć. Raz brat Stefana, dziewiętnastoletni, wyszedł z ich kryjówki na poszukiwanie żywności i nigdy nie wrócił. W styczniu Niemcy opuścili Warszawę. Stefan z matką dalej się ukrywali nie wiedząc o tym, bo nie było od kogo dowiedzieć się. Aż raz usłyszeli polską mowę wśród ruin obok, gdy już miało się ku wiosnie. Edgar powątpiewał w dokładność ich wspomnień. Sądził, iż w osamotnieniu musieli doznawać jakichś umysłowych aberracji. Stefan był wówczas jeszcze dzieckiem. Jego matka teraz była w stanie ciężkiego rozstroju nerwowego i nie dało się na ten temat z nią rozmawiać.

Berlińczyk-warszawiak Edgar ofiarował się pójść ze mną do Metza jako tłumacz i promotor. Fabryka produkowała telewizory, adaptory i radia. Edgarowi udało się przekonać administrację, że będę dobrym robotnikiem. Aczkolwiek niechętnie, zostałem przyjęty na nocną zmianę. Mieli wątpliwości co do wydajności fizycznej pracy lekarza. Pierwsze noce spędziłem pośród nieustannego zgrzytu przecinając przy pomocy ogromnej, zębatej, obrotowej piły deski wzdłuż nakreślonej linii. Potem przydzielono mnie do innej pracy razem z młodym, otyłym Bawarczykiem.

Moje nowe zadanie polegało na sklejanii dwóch deseczek na krzyż, po czym on jeszcze coś doklejał. Już po pół godzinie zaczynało się człowiekowi nudzić. Można było rozerwać się

rozmową, ale moja niemiecka była na to za słaba, a do tego on posługiwał się miejscowym dialektem, dla mnie zupełnie niezrozumiałym, więc po kilku próbach zapadliśmy w milczenie. Może po godzinie czy dwóch on przemógł się i odezwał. Nic z tego nie rozumiałem poza słowem *schnell*, więc nieco przyspieszyłem. Jesień już była za rogiem, trzeba było obsprawić się na zimę i bałem się, że mnie wyrzucą z pracy. Po jakimś czasie mój kompan znowu przemówił i tak jak poprzednio nic nie rozumiałem poza słowem *schnell*, więc przyspieszyłem. Powtórzyło to się parę razy w ciągu nocy. Dzień czy dwa później odwiedził mnie przedstawiciel związku zawodowego. Wy tłumaczył mi i po angielsku, i literacką niemiecką, że nie powinienem pracować tak szybko, bo przeze mnie właściciel fabryki podniesie normy dla innych robotników. Za tę noc wypłacono mi podwójnie. Przy przyjęciu do Metza zobowiązałem się do pracy w nocy, nadarzyła się jednak okazja i poprosiłem o przeniesienie na dzienną zmianę. Naczelnny inżynier przypomniał mi o naszej ustnej umowie, ale zgodził się. Pracę zaczynało się o siódmej rano. Zwykle szliśmy we trójkę, Ornaf, ja i trzeci Polak, starszy od nas. Cierpiał on na wrzód żołądka, oszczędzał się w pracy, uważał na dietę i wciąż popijał mleko, przez ówczesną medycynę uważane za niezbędny składnik leczenia choroby wrzodowej. Zaraz po wyjściu z obozu teren opadał i szło się dolinką, gdzie zwykle o świcie i rano zalegała gęsta mgła. My, trzech pracownicy Metza, spotykaliśmy się o szóstej trzydzieści przy bramie obozu i szliśmy razem. Czasem byłem spóźniony o minutę czy dwie i musiałem ich doganiać. Schodząc po zboczu widziałem tylko ich głowy, reszta ciała tonęła w białym тумanie jak w wacie.

Nowa praca polegała na przygotowywaniu do transportu *Musikschränk*, czyli po naszymu chyba muzyczna szafa. Była to wielka skrzynia zawierająca *fernruf*, czyli radio, *fernseh*, czyli telewizję, adapter i pomieszczenie na płyty. W *musikschränku* znajdowało się dwoje ruchomych oszklonych drzwi, trzeba je było zabezpieczyć przed kolebaniem podczas transportu. Temu celowi służyło osiem gwoździków, które należało wbić - dwa po lewej na górze, dwa po lewej na dole, dwa po prawej na górze i dwa po prawej na dole, nie za głęboko i nie za płytko, i ostrożnie, aby nie uszkodzić rowków, wzdłuż których przesuwają się oszklone drzwi.

Nasza fabryka produkowała jedynie drewniane części aparatów radiowych, telewizorów i *musikschränków*. Miała ona kształt prostokąta. Centralną i największą jej częścią była hala maszyn. Do

niej przylegał wąski magazyn. Po drugiej stronie magazynu znajdowały się biura, a po bokach hali maszyn pomieszczenia, gdzie malowano i politurowano. Gotowy produkt przewożono do innej fabryki, również należącej do Metza, gdzie wmontowywano resztę wyposażenia.



Fragment naklejki przyklepianej do wyrobów fabryki Metza

Cała załoga liczyła 300 osób. Na administrację przypadło sześć. Poznawało ich się po białych fartuchach. Byli to właściciel pan Metz, główny inżynier, główny majster, kreślarz, sekretarka i księgowy. Pozostali zatrudnieni byli bezpośrednio w produkcji. W Polsce Ludowej dyrektorów, kierowników, naczelników, referentów, kapusiów i różnych obiboków - tłum.

Moje nowe stanowisko znajdowało się na przodzie hali maszyn pod samą ścianą, obok drzwi do magazynu. Wszyscy robotnicy obsługujący maszyny, co najmniej dwustu, zwróceni byli twarzą ku mnie. Pomędzy mną a pierwszą linią maszyn leżało pasmo „ziemi niczyjej” - wolnej przestrzeni, przez co czułem się, i w rzeczywistości byłem, jakby na scenie. Praca polegająca na wbijaniu gwoździków nie była zła. Tak mi się na początku wydawało. Można było się poruszać, przyklęknąć, wstać, obrócić się, przesunąć musikschränk do magazynu. Zaś pracujący przy maszynach byli wręcz unieruchomieni. W głębi hali, po prawej, widziałem Antka Ornafa, zajętego polerowaniem. Wysoki, barczysty, godzinami kiwał się miarowo, swą szeroką piersią dociskając drewniane pudła telewizorów do obrotowej szczotki. Szary pył pokrywał mu łysinę i osiadał na brwiach. Gdy dopływ musikschränków opadał, musiałem zwalniać tempo pracy, a nawet udawać, że wbijam gwoźdźki, gdy nie wbijałem. Nie było to łatwe, będąc nieustannie w polu widzenia dwustu robotników, w tym majstrów i formanów o sokolim oku. A do tego ci w białych fartuchach coraz to wypadali z drzwi magazynu tuż obok mnie. Niechby tak który zobaczył mnie stojącego z opuszczonymi rękami, zaraz by przerzucili mnie do innej, cięższej pracy, najprawdopodobniej do malowania przy pomocy rozpylacza.

Tego się najbardziej obawiałem. Wdychało się farbę i dlatego dawali mleko jako odtrutkę. Byli i tacy, co sami zgłaszali się do malowania, można było zarobić ponad dziewięćdziesiąt marek na tydzień na czysto, podczas gdy ja dostawałem tylko sześćdziesiąt trzy. Kurs dolara wynosił 4,2 marki.

Na przeciwnej ścianie hali maszyn, tuż pod sufitem, wisiał wielki zegar. Czyżby celowo umieszczono go poza plecami robotników, aby nie odciągał ich uwagi od maszyn? Wielka okrągła biała tarcza unosiła się nad skupiskiem tokarek, wiertarek, frezarek, mechanicznych pił i szczotek, ludzkich głów i torsów, przywodziła na myśl tarczę słońca stojącego nisko nad horyzontem i wydawała się być centralnym punktem hali maszyn. Czasem musiałem markierować pracę klęcząc przy musikschrunku, zwrócony plecami ku hali maszyn, w jednej ręce trzymając gwoździak, w drugiej młotek. Uderzałem w gwoździak z rzadka i tak lekko, że w ogóle nie zagłębiał się w drewno. Ktokolwiek by się nie zbliżał lub gdy szczęknęła klamka w drzwiach magazynu, przyspieszałem tempo pracy, aby znów zapaść w „półletarg”, jak tylko niebezpieczeństwo minęło. Robotnicy obsługujący maszyny widzieli tylko moje nieruchome plecy i łokcie w ruchu. Zresztą zajęci byli własną pracą.

Unikałem patrzenia na zegar. Nie było to łatwe, bowiem znajdował się na wprost mnie, ilekroć odwróciłem się ku maszynom. Inni robotnicy, mając zegar stale za plecami, nie byli tak świadomi jak czas się włókł. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Wskazówki zawsze posuwały się za wolno, a najwolniej po południu. Im częściej spoglądałem na nie, tym wolniej się poruszały. Zegar wciąż przyciągał mój wzrok. Po tygodniu udało mi się wyćwiczyć oczy tak, że nawet będąc zwrócony ku zegarowi, nie widziałem czarnych wskazówek, najwyżej tylko zarys jego tarczy na granicy pola widzenia. Starłem się wytrzymać jak najdłużej bez spoglądania na zegar. W myśli mierzyłem czas. Im dłużej nie widziałem zegara, tym trudniej było opanować potrzebę zobaczenia go. Usiłowałem nie myśleć o zegarze i przez to myślałem o nim cały czas. Musiałem pilnować siebie samego, aby nie zwrócić oczu w niewłaściwym kierunku. Zdawało mi się nieraz, że już przeleciał kwadrans. Z nadzieją podnoszę oczy, a tu tylko pięć minut. Częste zerkanie na zegar tylko zwiększało frustrację. Im częściej, tym wolniej czas się posuwał. Można wyobrazić sobie człowieka w podobnej sytuacji, sam na sam z zegarem, oczekującego decydującej o jego losie wiadomości, którą ma otrzymać o określonej godzinie. Zerka on na

zegar coraz częściej. Im częściej, tym wolniej wskazówki się poruszają, a im wolniej się poruszają, tym częściej zerka, tym szybciej wzrasta napięcie i frustracja. W końcu nie mogąc oderwać oczu od wskazówek zastyga w bezruchu, ze wzrokiem przyklejonym do tarczy zegara.

Przed południem i po południu były piętnastominutowe przerwy, w południe półgodzinna. Jadło się drugie śniadanie, podwieczorek, obiad, siedząc pośród maszyn. Można było wyjść na świeże powietrze, wypalić papierosa. W czasie pracy wolno było pójść do ubikacji, ale częste opuszczanie stanowiska było źle widziane. Zwłaszcza palacze tam się wymykali. Nieraz, gdy się szło do ubikacji za potrzebą, wszystkie po mieszczenia były zajęte, a górą unosił się dymek. Antek Ornaf poradził mi by w takiej sytuacji, gdy się człowiekowi spieszyło, krzyknąć: *die raucher raus, ich will scheissen!*

Choć wyglądem nie wyróżniałem się wśród tłumu czarnoroboczych, pamiętali, że jestem lekarzem. Raz oderwali mnie od wbijania gwoździaków, abym udzielił pomocy w nagłym wypadku. Ktoś dostał ataku epileptycznego. Pośrodku kręgu widzów, robotników i majstrów, przyklękawszy, policzyłem leżącemu puls i popatrzyłem mu w źrenice.

Już samo wbijanie gwoździaków przez osiem godzin dziennie, dzień po dniu, mogło doprowadzić inteligentny umysł na skraj obłądu, zwłaszcza że część tego czasu poświęcona była udawaniu wbijania gwoździaków. Ucieszyłem się więc, gdy po kilku tygodniach dostałem przeniesienie, a ktoś inny zajął moje stanowisko przy gwoździakach. Przydzielono mnie do Franza, jako pomocnika. Naszym zadaniem było pakowanie szaf muzycznych w wielkie kartonowe pudła i zabezpieczanie ich przed uszkodzeniem w czasie transportu przy pomocy licznych miękkich wkładek. Było to dość skomplikowane. Czasem majster sprawdzał naszą robotę. Zdarzało się, że uszkodzona szafa wracała do naprawy. Wtedy dostawaliśmy rugi, których dobrze nie rozumiałem, ale rozumiałem, że Franz zwał brakoróbstwo na mnie. Trudno było się bronić, nie mogąc wystąpić się po niemiecku. Bałem się, że mnie zwolnią. Z Franza był kawał bumelanta. Gdy nikogo z bossów nie było na horyzoncie, znikał i zostawiał mnie samego. Franz miał kumpla pracującego w jednym z bocznych pomieszczeń i tam się ulatniał na pogaduszki. Raz nieoczekiwanie wpada majster, gdy sam borykam się z musikschraniem i kartonowym pudłem. Widząc mnie samego pyta, gdzie jest Franz. Mówię, że nie wiem, choć wiedziałem. Minęło

więcej niż piętnaście minut nim wrócił. Oberwał i to jeszcze jak. Wykorzystałem ten moment i mówię do niego: *Franz, du bist ein Arbeiter und ich bin ein Arbeiter, so wir sollen Freunde sein*. Franz, ty jesteś robotnikiem i ja jestem robotnikiem, to powinniśmy być przyjaciółmi.

Od tego momentu nasze stosunki przybrały formę koleżeńską, nie na długo wprawdzie, bo nadarzyła się okazja przeniesć się do magazynu. Majster miał wątpliwości, czy lekarz nadaje się do takiej fizycznej pracy, ale zgodził się. Ja też miałem wątpliwości, ale ich nikomu nie wyjawiałem. Od kilkunastu lat, niemal regularnie, co miesiąc lub dwa, doświadczałem nagłego ostrego bólu w górnej części pleców, między łopatkami, czasem tak silnego, iż przeszkadzał w oddychaniu. Po pół godzinie ból zmniejszał się, ale w łagodnej formie dokuczał mi przez tydzień czy dwa. Byłem przekonany, że przy dźwiganiu ciężarów dostanę ostrych spazmów w plecach, ale wszystko wydawało się lepsze od wbijania gwoździaków, czym nadal się zajmowałem w chwilach wolnych od pakowania. Moje obawy, że mogę zakończyć swoją karierę u Metza wijąc się na podłodze z bólu, nie tylko nie ziściły się, ale zostałem wyleczony na zawsze. Bóle nigdy nie powróciły.

Praca w magazynie polegała między innymi na ładowaniu i rozładowywaniu ciężarówek, najczęściej ważyły pojemniki z farbą. Za współpracownika dostałem młodego nauczyciela, uciekiniera ze Wschodnich Niemiec. Szefem magazynu był kędzierzawy, siwiejący, szczupły blondyn pod czterdziestkę, znający jako tako rosyjski. Poduczył się języka w niewoli. Brakowało mu na przodzie dwóch zębów. Był to miły człowiek, pracowity. Miał nas na oku, ale nie czepiał się. Lubiałem go jeszcze za to, że poznał się na bumelancie Franzu i nie uwierzył w jego kłamstwa o mnie. Praca w magazynie obfitowała w częste kilkuminutowe i dłuższe przerwy, kiedy nie było nic do roboty. Nauczyciel i ja urozmaicaliśmy sobie czas rozmową, a raczej próbami porozumienia się po niemiecku, rosyjsku i angielsku. Jego zapas słów w obu obcych językach nie dorównywał ilościowo mojemu zapasowi słów niemieckich, więc szło nam jak po grudzie. Do tego moja niemczyzna wywodziła się z dwóch źródeł: doświadczeń wojennych oraz niemieckich książek z licznymi ilustracjami na temat sztuki, wyszabrowanych na ziemiach odzyskanych. To słownictwo nie miało zastosowania w fabryce Metza. Z konieczności i dla żartu czasem używałem słów zastępczych. Na przykład drabinę zwałem *tryumphbogen* (łuk

triumfalny) a rozpylacz farby *maschinengewehr* (karabin maszynowy). Uczyłem się bawarskich zwrotów użytecznych w pracy. Ładując ciężarówkę wołało się: *holde mol*, co miało znaczyć coś w rodzaju - podtrzymaj. Magazyn leżał pomiędzy tą częścią budynku, gdzie urzędowali ci w białych fartuchach, a halą maszyn. Coraz to ktoś stamtąd przebiegał magazyn. Jeśli stałeś z opuszczonymi rękoma, nie zdążyłeś w porę upozorować ruchu reagując na dźwięk szybko otwieranych drzwi. Znaleźliśmy rozwiązanie. Gdy nie było co robić, staliśmy z rękami opartymi o jakiś przedmiot - belę papieru, skrzynię, cokolwiek, zwykle o coś, co stało na podwyższeniu, bo tak było wygodniej. Staliśmy nieruchomo, na podobieństwo rzeźby, ruchu wykutego w kamieniu, jak dyskobol Fidiasza czy grupa Laokoona. Na dźwięk otwieranych drzwi zaczęliśmy się ruszać, na dźwięk zamykanych, przestawaliśmy.

Raz pośrodku nocy obudziło nas stukanie do drzwi. Jeden z uchodźców zażądał, aby go natychmiast zbadał polski lekarz. Chory, sam lekarz, dr Jerzy Ochman, obsypany był wysypką i miał gorączkę. Z miejsca oświadczył, że już badali go miejscowi lekarze i postawili mu różne diagnozy z syfilisem włącznie. Moje pediatryczne doświadczenie przydało się. Rozpoznałem chorobę posurowiczą, jako komplikację zastrzyku otrzymanego przed dwoma tygodniami. Widziałem tego dużo u dzieci. I tak poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy. Ochman, rodem ze Śląska, starszy ode mnie o kilka lat, z żoną i dwojgiem małych dzieci przedostał się do Republiki Federalnej przez Wschodni Berlin. Łatwo mu było otrzymać wizę do Wschodnich Niemiec, bowiem w czasie wojny służył w niemieckiej dywizji pancerniej. Medycynę ukończył w Polsce i wkrótce został aresztowany. Za czas spędzony w polskim więzieniu przysługiwało mu dwadzieścia kilka tysięcy marek jako rekompensata, a także renta inwalidzka, bowiem był ranny dwa razy. Aby skorzystać z tych przywilejów wystarczyło, aby zadeklarował się Niemcem. Ochman odmówił niemieckiego obywatelstwa i jako Polak nie otrzymał niczego.

Marysia, po nieudanych próbach znalezienia lepszej pracy w białym fartuchu, poszła do fabryki zabawek. Przez osiem godzin, dzień po dniu, naciskała dwa klawisze na maszynie i roniła łzy od czasu do czasu, budząc współczucie towarzyszek pracy, przywykłych do takiej monotonnej roboty. Pytały, czy tęskni za ojczyzną, chyba za Górnym Śląskiem czyli Oberschlesien i za Chorzowem czyli Königs Hütte. A że mówiła bezbłędnie po

niemiecku i to literackim językiem, zrazu brały ją za rodaczkę. Było wielkie zaskoczenie, gdy temu zaprzeczyła. Bawarczycy nawet Niemców z innych „landów” zwali *ausländer*. Wdawała się w dyskusje z innymi robotnikami. Po tych strasznych klęskach i zniszczeniach klasa robotnicza nie potępiała Hitlera. Hitler chciał dobrze, mówili, tylko arystokraci mu bruździli i sabotowali. Niemcy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym, bo zostały obrażone i musiały bronić swego honoru.

W pracy Marysia poznała miłego robotnika. Zaprosił nas do siebie. Mieszkał w starej dzielnicy Zirndorfu. Domy były tam jakby żywcem skopiowane z ilustracji z bajek Grimmów i Andersena. Gospodarz, Willi Danz, już niemłody, wyglądał na więcej lat niż miał - za czasów Hitlera siedział w obozie. Grał pięknie na harmonii. Na moją prośbę zagrał balladę o bogatej młynareczce co wzgardziła miłością biednego rybaka. Rzekła mu - miłość twa, na nic mi się nie zda. Gdy po latach rybak wrócił bogaty, odmieniło jej się, ale on na jej ofertę odparł - miłość twa na nic mi się nie zda. Słyszałem tę balladę wiele razy, należała do repertuaru kataryniarzy, dotykała jakiejś wrażliwej struny we mnie. Pieśni o miłości mówią zawsze o nieszczęśliwej. Podobnie pieśni i sagi o bohaterach zwykle opiewają nie zwycięzców, ale tych co padli w boju.

Poszedłem do dentysty, Niemca wysiedlonego z Opola, mówiącego po polsku. Nie chciał zapłaty za leczenie. Poznawałem Niemców innych od tych z czasu wojny.

Wśród wychodźców znajdowali się dwaj kuzyni, warszawiacy. Dwudziestoparoletni i czterdziestolatek. Odłączyli się od wycieczki w Wiedniu. Starszy, dowcipny i odcytany, namówił młodszego. Młodszy zostawił w kraju żonę, początkującą śpiewaczkę czy aktorkę i nowo narodzone dziecko. Oczekiwał, iż w ciągu roku, a najwyżej dwóch, ludowy rząd wypuści jego rodzinę na zachód. Otrzymał list od żony, zmarkotniał. W ostrych słowach potępiła jego decyzję pozostania na zachodzie. Można było tylko odgadywać czy napisała to od serca, czy też dla cenzury, z góry wiedząc, że pierwszym czytelnikiem tego listu będzie ktoś w Urzędzie Bezpieczeństwa. Stawał się coraz bardziej przygnębiony. Kuzyni sypiali razem w jednym łóżku, choć w ich pokoju były dwa. Młodszemu miało to robić dobrze na nerwy. Jak spał sam, to nie mógł zasnąć. Jednego dnia zniknął, podobno wrócił do Polski. Po kilku miesiącach ktoś przyniósł wycinek z „Życia Warszawy” - zasądzi go na dwa lata.

Inną parę stanowiła matka z synem dwudziestolatkiem. Też się urwali z wycieczki w Wiedniu. Zaledwie przekroczyli granicę Republiki Federalnej, zgłosili się do policji i poprosili o azyl. Zamiast oczekiwanych darów sypiących się jak z rogu obfitości za to, że wybrali wolność, zostali aresztowani i to przez kogo, przez Niemców, za nielegalne przekroczenie granicy. Posiedzieli za kratami dwa tygodnie nim ich przerzucono do Valkalager. Minęły już miesiące, a kobieta wciąż była zaszokowana ich uwięzieniem. Coraz to wracała do tego tematu. Budziła niezamierzoną wesołość wśród rodaków, którzy także wybrali wolność na zachodzie, opowiadając, jak to oczekiwała, „że dadzą nam taksówki jak tylko przejdziemy granicę do Amerykanów”. Najwidoczniej tam, skąd pochodziła, samochód zwano taksówką.

Od kwaków dowiedziałem się, że armia amerykańska zatrudnia cudzoziemców lekarzy i że jest wakans w bazie w miejscowości Graffenwöhr pod samą czeską granicą. Złożyłem podanie, tak na wszelki wypadek, nikłą mając nadzieję. Mogłem sobie wyobrazić odwrotną sytuację. Lekarz ucieka z zachodu do Związku Sowieckiego i prosi o azyl polityczny. Oświadcza, że jest komunistą, że kocha kraj rad, po czym zwraca się o pracę w armii sowieckiej. Oczywiście nie tylko by nie dostał, ale z miejsca posądziliby go o szpiegostwo. Zacząłem na gwałt uczyć się angielskiego. Te gorączkowe studia, gdy zmęczony wracałem z pracy, niewielkie dawały wyniki, ale za to uprzytamniały mi jak mało umiem. Moja znajomość tego języka, w porównaniu z ogromem tego, czego nie rozumiałem, można było przyrównać do szpilki obok stogu siana, jeśli nie gorzej.

Po dwóch tygodniach przyszła pozytywna odpowiedź. Podali mi datę na *interview*. Musiałem zaprezentować się jak najlepiej, ale w co się ubrać? A jak cię widzą, tak cię piszą. Od Ornafa pożyczyłem granatowy beret, były one wówczas w modzie, i jasnoszarą nową kurtkę do pół kolana. Beret pasował jak ulał. Kurtka za duża, schodziła poniżej kolan; a że była także za szeroka w barach, ramiona nieco zwisały. Kurtka przeniesiona z masywnego Ornafa na mnie, przeobrażała się w palto. Przejrzałem się w lustrze, nieźle. Zdaniem Marysi znowu wyglądałem na lekarza.

Stefan Kohn, wytrwały i systematyczny w nauce angielskiego, posiadał liczne podręczniki. Wybraliśmy kilka zdań, mogłem je wtrącić do każdej rozmowy, aby sprawić wrażenie, że znam język lepiej niż naprawdę znałem. Metoda polegająca na wtykaniu w

odpowiednim momencie z góry przygotowanych „błyskotliwych zwrotów” była obosiecznym mieczem. Mój rozmówca, będąc pod wrażeniem, że znam jego język lepiej niż naprawdę znałem (co było moim celem), mówił szybciej z użyciem bogatszego repertuaru słów (co nie było moim celem). O świcie ruszyłem w podróż po złote runo. Bilet w jedną stronę drugą klasą (trzeciej nie było) kosztował 8 marek. Za godzinę pracy w fabryce dostawałem półtorej marki.



Linia kolejowa wiała się pomiędzy wzgórzami porośniętymi lasem w kolorach jesieni. Gałęzie niemal ocierały się o okna. Od czasu do czasu spoglądałem na kartkę papieru z wypisanymi na niej angielskimi zdaniami i potem nie patrząc powtarzałem je w myśli, aby się nie zaciąć, gdy przyjdzie co do czego. Przy wejściu do obozu stało jedenaście białych krzyży, a obok napis: *drive safely, we want you back* (prowadź samochód ostrożnie, potrzebujemy cię). Jakiś żartowniś dopisał: „for KP” (do kuchni). Wartownikowi przy bramie wytłumaczyłem, że mam umówione spotkanie w *dispensary*, i po sprawdzeniu wpuścił mnie. Kierownikiem *dispensary* czyli przychodni był młody lekarz, kapitan Montez. Jego jednego jako tako rozumiałem, jego macierzystym językiem był hiszpański i dlatego po angielsku mówił wyraźniej, przynajmniej mogłem odróżnić słowa, nawet jeśli ich nie rozumiałem. Zresztą starał się mówić wolno i wyraźnie. Za to mowa sierżanta, kierownika administracyjnego przychodni, brzmiała bardziej jak bełkot. W czasie rozmowy udało mi się wsunąć kilka wyuczonych zdań. Aby zatrzeć ujemne wrażenie wdałem się w rozmowę z sekretarką, jak się okazało Niemką. Przerzuciłem się na niemieczkę w nadziei, że przynajmniej na niej zrobię dobre wrażenie.

Wąta była nadzieja szybkiego powrotu do zawodu lekarza i zwiększenia moich zarobków z piętnastu dolarów na tydzień do

trzystu na miesiąc. Następnego dnia terkot budzika zerwał mnie ze snu o świcie. Jak zawsze rano palce były tak sztywne, że mijało pół godziny nim się udało zacisnąć je w pięść.

Minął tydzień, przyszło zawiadomienie o przyjęciu mnie do Graffenwöhru wraz z datą rozpoczęcia pracy. Po dwóch dniach przyszła depesza, żeby nie przyjeżdżać. Najwidoczniej amerykański kontrwywiad sprzeciwił się.

Coraz to ktoś otrzymywał wizę emigracyjną i wyjeżdżał z obozu. Prowadziło to nieraz do tragedii. Węgierska para niemałżeńska, on nazwiskiem Sandor Csapo, starała się o wyjazd do Australii. Kobieta interesował się też inny mężczyzna, i to nie bez wzajemności, także starający się o australijską wizę. Sandora konsulat odrzucił z powodu plamy na płucach. W niedzielę, w czasie pikniku, Sandor nożem przebił dziewczynę i siebie. On umarł, a ona przeżyła i z nowym kochankiem pojechała do Australii. Z tej okazji Lagerleiter Kródel wydał następujące oświadczenie: *„Ich habe die traurige Pflicht, den Lagerinsassen bekannt zu geben, dass der Lagerinsasse, Sandor Csapo, am Sonntag 27.10.57, freiwillig aus dem Leben geschieden ist“*.

Obok, przez ścianę, mieszkał Polak z żoną Niemką, rzeźnik z zawodu, niedbały o swój wygląd. Sprawiał wrażenie tępego, nawet jak na rzeźnika. Żona prezentowała się lepiej. Podobno dawniej źle ją traktował. Być może wyszła za pierwszego lepszego zaraz po wojnie, aby jej nie wysiedlili z Polski. Rzeźnik chodził ospały i przygnębiony. Żona go więcej nie chciała. Błagał ją, aby go zatrzymała. Nie wyglądał na takiego co by się sam przebił nożem.

Minął jeszcze jeden tydzień i przyszło potwierdzenie mojego zatrudnienia w Graffenwöhr. Złożyłem rezygnację u Metza. Kupiwszy zimowe palto na spłaty, zaopatrzony w polsko-angielski słowniczek zwrotów niezbędnych dla lekarza, ruszyłem w drogę sam. Marysia na razie została w obozie w Zirndorfie na wypadek, gdyby mi się nie powiodło. Zresztą nie było kwater dla rodzin w obozie w Graffenwöhr. Mogłem wprawdzie wynająć umeblowane mieszkanie w pobliskim miasteczku Weiden, ale na to nie było nas stać. Przydzielono mi pokój w budynku mieszkalnym na terenie obozu.

Mój dzień składał się z dwóch ośmiogodzinnych okresów. W przychodni do godziny czwartej jako lekarz i w pokoju na kwaterze jako student angielskiego. Pracy było niewiele, dobrze jeśli widziałem dziesięciu pacjentów dziennie. Graffenwöhr był poligonem. Raz po raz przyjeżdżały nowe oddziały na manewry - wtedy pacjentów

przybywało. Oprócz kapitana Monteza, kierownika przychodni, pracowało dwóch niemieckich lekarzy, dr Herret i rudy dr Laus. Obaj mówili płynnie po angielsku. Wśród pacjentów przeważali zwykle żołnierze, a moi niemieccy koledzy poza żołnierzami zajmowali się oficerami i ich rodzinami oraz cywilnymi Amerykanami zatrudnionymi w armii. Taki układ był dla mnie bardzo korzystny z powodu kiepskiej znajomości angielskiego. Obawiałem się, że któryś z oficerów poskarży się wyższym władzom na nieuka, z którym nie można się porozumieć. Gdy nie mogłem dogadać się z żołnierzami, a zdarzało się to często, Laus lub Herret przychodzili mi z pomocą.

Sama praca lekarska zajmowała mi od dwóch do czterech godzin dziennie. Pozostały czas spędzałem wkuwając zwroty niezbędne przy pracy: czy pan spluwa krwią? (flegmą?); czy odczuwa pan ból (pieczenie) przy oddawaniu moczu?; czy doświadcza pan zawrotów głowy?; czy oblewają pana zimne poty? I tak dalej strona za stroną.

Sądząc po tym, jak poprawnie formułowałem pytania, pacjenci uważali, że nieźle znam angielski. Odpowiadając mówili szybko i trudno mi było ich zrozumieć. Kiedyś trzech ich przyszło razem, wszyscy trzej biali. Jednego w ogóle nie mogłem zrozumieć. Jego kolega pomógł mi tłumacząc na literacki język.

Lekarze stołowali się w oficerskim kasynie. Można było wybierać sobie co się chciało i to za darmo. W młodości nasłuchiwałem się maksymy - co masz w głowie, tego ci nikt nie odbierze. Do tego doszło w czasie wojny - co zjesz, to twoje. Lata spędzone pod komunizmem tylko umocniły obsesje wokół jedzenia. Nie to, żeby ludzie przymierali głodem jak na wschód od Bugu, ale wciąż czegoś brakowało - mięsa, masła, jajek, cukru... Trzeba było stać w kolejkach, jeść co się dostało.

Na początku pobytu w Graffenwöhr obżerałem się jak rekonwalescent po tyfusie, jakby na zapas, jak niedźwiedź przed zimą. Minęło kilka miesięcy nim mi to przeszło, jakbym wreszcie uwierzył, że głód mnie nie czeka, bo żyję w krainie obfitości, a nie w krainie wiecznego niedostatku.

Moja reakcja na widok nieograniczonej ilości i wyboru jedzenia przywodzi mi na pamięć inne wydarzenie. Po wojnie, w latach czterdziestych, mieszkając w Jeleniej Górze nabyliśmy szczenię, krzyżówkę wilczura z dobermanem. Piesek dostawał tylko ograniczone ilości wody do picia, aby nie siusiał na podłogę. Gdy podrósł, wzięliśmy go raz na spacer do leśnego jeziora. Na widok

takiej ilości wody najpierw znieruchomiał, jakby nie wierzył własnym oczom, potem ostrożnie zanurzył się i zaczął pić i pić, aż brzuch mu spęczniał i więcej już nie mógł. Więc wrócił na brzeg wciąż nie odrywając oczu od jeziora. Odczekał trochę, jeszcze dwa razy wszedł do wody i pochłeptał odrobinę.

Popołudnia i wieczory spędzałem w swoim pokoju ucząc się angielskiego. Pożyczyłem z biblioteki pamiętniki Churchilla i ze słownikiem w ręku brnąłem naprzód. Wypisywałem nieznanne słowa i zwroty i w głos je powtarzałem. Zajmowało mi godzinę i więcej aby „przerobić” jedną stronę. Obok mnie miał pokój rudy doktor Laus. Gdy nie mogłem rozgryźć jakiegoś zwrotu, do niego zwracałem się o radę. Laus miał dużo wolnego czasu i chętnie udzielał pomocy. Był chyba samotny. Lubił sobie wypić, ale nigdy nie widziałem go podchmielonego. Był to postawny mężczyzna o cerze harmonizującej z kolorem rudych włosów. Jego ulubionym powiedzeniem było - *no business, good business*.

Język angielski obfituje w krótkie wyrazy, które się dodaje na końcu czasownika zmieniając przez to jego znaczenie: *up, in, on, off, along, through, out, away, down*. Z tym miałem największe trudności. Raz przyszedł Murzyn skarżąc się na bóle w piersiach i zawroty głowy - tak go w każdym razie zrozumiałem. Chciałem go zapytać, czy zemdlął. Zamiast powiedzieć *did you pass out* użyłem zwrotu *pass away*, to znaczy umrzeć. Po twarzy pacjenta i jego wybałuszonych oczach od razu poznałem, że m palnął jakieś głupstwo. U Amerykanów lekarze byli w znacznie większym uważaniu niż wśród Polaków i do ich słów przywiązywano dużą wagę.

Unikałem odbierania telefonów, nie mogłem zrozumieć, choć odbiór był czysty. Pomimo wkuwania po kilkanaście godzin dziennie nie robiłem, zdawało się, żadnych postępów jeśli chodzi o rozumienie języka mówionego. Odróżniałem więcej wyrazów, ale nadal nie rozumiałem. Po trzech miesiącach bezowocnych wysiłków nagle przyszła poprawa. Zacząłem rozumieć, wystarczająco dla moich potrzeb. Jakby w ciemnym pokoju zapaliło się światło. Najoczywiściej w miarę nauki mój zasób słów zwiększał się bez widocznych rezultatów, aż ich ilość osiągnęła „masę krytyczną” i zacząłem rozumieć. Podobny proces zachodzi w bombie uranowej.

Minęło Boże Narodzenie. Doktor Herret zaprosił mnie na bal sylwestrowy w pobliskim mieście Weiden. Z obozu przyjechała Marysia. Mieliśmy stolik z Herretem, jego żoną i jeszcze kilku

Niemcami, w olbrzymiej sali połączonej z drugą olbrzymią salą, obie wypełnione rozbawionym tłumem. Gwar bił „pod niebiosa” i nasilał się w miarę upływu czasu i w miarę konsumpcji alkoholu. Rozległy się wołania, przychichło, i wolno wybiła północ. Podniosła się ogromna wrzawa. Kilka osób zaczęło śpiewać, potem kilkanaście, coraz więcej osób dołączało. Niektóre panie zdjęły pantofle, niektóre nie zdjęły, weszły na stoły i zaczęły maszerować w miejscu. Coraz więcej osób wdrapywało się na stoły. Ci, dla których zabrakło miejsca, bądź też nie czuli się zbyt pewnie na nogach, maszerowali na podłodze obok. Tupot, zrazu niezynchronizowany, nabierał rytmu i mocy. Wkrótce gwar głosów ustał i salę wypełnił grzmot setek nóg w marszu i śpiew.

W czasie krótkiego pobytu w tym kraju nie widywałem rozbawionych Niemców, za to z czasu wojny dobrze pamiętałem groźnych i maszerujących. Jedno zdawało się wykluczać drugie. Oksymoron. Teraz otaczały mnie setki rozbawionych maszerujących. Na głowach błazeńskie czapki z kolorowego papieru zamiast hełmów. Zamknąwszy oczy pomyślałbyś - batalion piechoty na defiladzie. Zaskoczyły mnie słowa piosenki o niemieckim żołnierzu, co flirtował z piękną Polką i dostał kosza. Dalekie echo legendy o Wandzie, co nie chciała Niemca.

*In einem Polen städtchen
da sah ich einst ein Mädchen
Sie war so schön
Sie war das allerschönste kind
Das man in Polen Find
Aber nein, aber nein sprach sie
Ich küsse nie*

*Ich lud sie ein zum Tanze
da fiel aus ihrem Kranze
ein Rölsein rot
Ich hob 'es auf von ihren Fuss
und bat um einen Kuss
Aber nein, aber nein sprach sie
Ich küsse nie*

*Wir spielten einst mai Mühle
ich gewann in diesem Spiele
und sprach zu ihr:
Lös deines Spieles, Spielesschuld
mit einem Kussenhuld
aber nein, aber nein sprach sie
ich küsse nie.*

Podczas naszej nieobecności w Zirndorfie przyszła tajemnicza pocztówka z Zachodniego Berlina do mnie. Tajemnicza, bo jej nigdy nie otrzymałem, zaginęła. Ten kto miał ją doręczyć, przeczytał jej treść. Nadawca pisał, że jedzie do Caracas i chciał się ze mną skomunikować. Na myśl przyszedł mi znajomy Polak z Rzymu, wybierał się do Wenezueli, nas namawiał. Jeśli z Rzymu do Caracas, to dlaczego przez Berlin? Z Zachodniego Berlina już łatwiej było porwać człowieka do Wschodniego. Jeśli był to podstęp komunistycznego wywiadu zwabić mnie do Berlina, znaczyć to mogło, że rodak z Via Tembien był w to zamieszany.

W Graffenwöhr pracowało dwóch Niemców dentyistów. Starszy, niski i łysawy, pochodził ze Schneidemühle (Piła). Opowiadał, czego doświadczyła jego matka staruszka zimą 1945 roku. Gdy na podwórze jej domu weszli Rosjanie, wyszła im na spotkanie ofiarując na tacy chleb i sól. W odpowiedzi żołnierz kopnął tacę. Dentysta był zaskoczony reakcją Rosjanina, jakby nie wiedział, co jego rodacy nawyrabiali w Rosji. Ta starożytna tradycja znana była tylko z książek, choć moja matka opowiadała, że w czasie pierwszej wojny światowej Niemców wkraczających do Starachowic powitała żydowska delegacja z chlebem i solą.

Gdy wspomniałem młodszemu dentyście o losie trzech milionów polskich Żydów, wyraził niewiarę, że sami Niemcy mogli wymordować aż tylu. Jego zdaniem połowa padła ofiarą Rosjan.

Na terenie poligonu Graffenwöhr ćwiczone załogi w obsłudze nowych rakiet zwanych *Honest John*. Jedna z rakiet nie poleciała we właściwym kierunku i uderzyła w namiot pełen żołnierzy. Czasem takie dudnienie dochodziło z oddali, jakby już wojna wybuchła.

Raz obudziwszy się o szarej godzinie podchodzę do okna. Mglisty świt, ledwo widoczne korony odległych świerków, obok budynku stoją żołnierze, z bronią, zimowe czapki uszatki z nausznikami luźno zwisającymi. Sowieni - przemknęło mi przez głowę, dopiero po chwili rozpoznałem Amerykanów. Gdyby wojna naprawdę wybuchła, Rosjanie mogliby tu dotrzeć w godzinę, tak blisko była granica.

Minęły już cztery miesiące, gdy pojawiła się możliwość przeniesienia do kompanii wartowniczych we Francji. Polacy w obozie w Zirndorfie stanowczo odradzali zrobienie takiego kroku. Według jednych, Amerykanom nie podobały się takie zmiany i mogłem stracić pierwsze, nie zyskawszy drugiego. Według innych, nie było to w ogóle możliwe. Znając moich rodaków nie przejąłem się

tymi ostrzeżeniami, wiedząc z doświadczenia, że zwroty „nie wiem” i „zdaje mi się” nie znajdują wiele miejsca w codziennym repertuarze słów przeciętnego Polaka.

DIENSTSTELLE
8065th LS MEDICAL GENERAL DISPENSARY
KAISERSLAUTERN 5
POSTFACH 771

26. November 1957

Herrn
Dr. Jan Kurdwanowski
Sammellager fuer Auslaender
ZIRNDORF b/Wuernberg
Rothenburgerstrasse 29

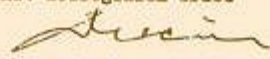
Sehr geehrter Herr Kurdwanowski!

Ich freue mich, Ihnen mitteilen zu koennen, dass Sie mit Wirkung vom 1. Dezember 1957 von dieser Dienststelle als Arzt eingestellt werden. Die ersten drei Monate Ihrer Taetigkeit gelten als Probezeit, in der Sie nach Gehaltsgruppe B-8/1 minus 10% (monatlichem Bruttogehalt DM 594.00) entlohnt werden. Nach der Absolvierung eines Kurses an dem US Army Hospital Landstuhl sind Sie zum Dienst bei der Labor Service in Frankreich vorgesehen, wo sich Ihr Gehalt bedeutend erhoecken wird.

Sie werden gebeten, sich mit der Abordnung des 6950 Labor Service Centers in Verbindung zu setzen, welche am Montag den 2. Dezember 1957 oder Dienstag den 3. Dezember 1957 mit einem Fahrzeug nach Zirndorf ins Lager kommt, um von dort Leute nach Kaiserslautern zu befoerdern.

Die Abordnung ist von Ihrer Mitfahrt verstaendigt. Im Labor Service Lager Pulaski-Barracks, Kaiserslautern-Vogelweh, wenden Sie sich bitte an den dortigen leitenden Arzt der 8065 LS Med Gen Disp, Dr. med. Roman Szczyrba.

Mit kollegialem Gruss



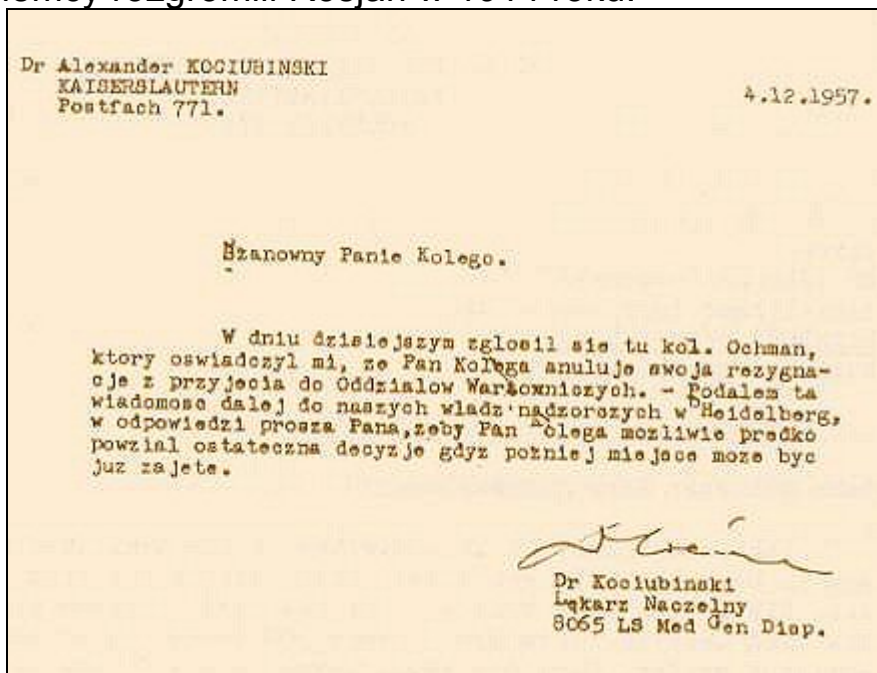
Dr. med. Alexander Kociubinski
Leitender Arzt

Tel: West Mil 226-616

Załatwiwszy przyjęcie do kompanii wartowniczych pożegnałem się z kapitanem Montezem i kolegami Herretem i Lausem. Zawdzięczałem im wiele. Przed przeniesieniem do Francji skierowano mnie na przeszkolenie do głównego szpitala armii amerykańskiej w Landstuhl. Zamieszkaliśmy na kwaterze miejscowej polskiej kompanii wartowniczej, a do szpitala dojeżdżałem kilkanaście kilometrów. Był to nasz pierwszy kontakt z polskim środowiskiem na zachodzie.

Wartownicy, Polacy, nie wrośli w miejscowe społeczeństwo i pozostali wiecznymi emigrantami. Większość mieszkała w barakach. Taniej było w kilku czy kilkunastu na jednej sali, niż wynajmować mieszkanie czy pokój w prywatnym domu, przynajmniej samotność nie dokuczała. Kilku młodzików uciekło z okrętów i na razie zaczęło się w kompanii wartowniczej. Prawie wszyscy wartownicy byli rozbitkami ostatniej wojny. Nie było do czego wracać i dokąd iść. Pracując u Amerykanów mieli ubezpieczenia społeczne, takie same jak i obywatele Republiki Federalnej. Obchodzili niemieckie święta

państwowe i polskie narodowe. W rocznice naszych dwóch zwycięstw pod Grunwaldem i w bitwie warszawskiej 1920 roku mieli dzień wolny od pracy, a także w rocznicę bitwy pod Tannenbergiem, gdzie Niemcy rozgromili Rosjan w 1914 roku.



Kilku wartowników utkwiło mi w pamięci. Jeden - niski, łysiejący szatyn, Ślązak, spędził lata w hitlerowskich więzieniach oczekując wykonania wyroku śmierci przez ścięcie. Opowiadał mi, że raz na tydzień przyjeżdżał kat. Odbywało się to nocą. Przy uderzeniu gilotyny fundamenty więzienia drgały. Potem czekali znowu tydzień, czyja kolej. Kiedyś przywieźli niecodziennego aresztanta, porucznika Wehrmachtu. Był homoseksualistą. Usiłował nakłonić do seksu jednego z podległych mu żołnierzy, grożąc iż w razie odmowy wyśle go na wschodni front. Przyjechał ojciec prosić o życie syna. Porucznika rozstrzelali z zachowaniem wojskowych honorów, zamiast obciąć mu głowę jak pospolitemu kryminaliście lub zdrajcy, z uwagi na zasługi jego ojca, odznaczonego Żelaznym Krzyżem w czasie pierwszej wojny światowej. Wojna miała się ku końcowi, hitlerowska rzesza dogorywała, więźniowie oczekiwali, że zostaną rozstrzelani w ostatniej chwili, co było przyjętą praktyką. Znajomy gestapowiec, przyjazny jak na gestapowca, pocieszył Ślązaka. „Nie martw się, jak trzeba będzie, to ja sam ciebie zastrzelę i nic cię nie będzie bolało”. O czymkolwiek by się nie zaczęło mówić, Ślązak wracał do tematu więziennych kazamat. Wciąż to przeżywał. Mijały pory roku... w sadach zakwitły jabłonie i grusze, to żar lał się z nieba, to

jesienny wiatr podrywał złote liście, to śnieg sypał... mijały lata, a on myślami wciąż był w więzieniu przy gilotynie.

Inny wartownik, małomówny, nie miał ani wrogów, ani przyjaciół. Każdej zimy brał urlop i znikał na kilka dni. Koledzy wkrótce odkryli, gdzie się podziewał. Niedaleko znajdowało się wzgórze porośnięte lasem. Gdy śnieg przykrywał ziemię, brał śpiwór, zapas jedzenia i szedł do lasu.

EMPIRE CHERIFIEN Gouvernement de Sa Majesté MINISTÈRE DE LA SANTÉ	Rabat, le 11 DEC. 1957 LE MINISTRE DE LA SANTÉ
N° <u>30334</u> 50/2 5ème Bureau	à Monsieur le Docteur Jan KUREWANOWSKI Rothenburgerstrass 29 <u>ZIEHDORF BEI NUERNBERG</u>

Monsieur et cher confrère,


Comme suite à votre lettre du 14 novembre, j'ai l'honneur de vous adresser le questionnaire ci-joint que vous voudrez bien me retourner dûment rempli, signé et accompagné des copies de vos titres et références.

Je serai ainsi en mesure d'étudier en connaissance de cause votre candidature à un emploi de médecin de ce Ministère.

Veuillez agréer, Monsieur et cher confrère, l'assurance de ma considération distinguée./.

Le Ministre de la Santé

Sy-
Signé: Dr FARAJ



Trafiało się i na ludzi inteligentnych, niemłodych, przeważnie z kresów. Nie mieli do czego wracać, nie chciało im się iść w nieznaną, do Ameryki, Australii, więc zostali w Niemczech czekając na upadek sowieckiego imperium. Jednego polubiłem. Był niskim rangą oficerem kompanii. Rodacy zwali go Cwajnosem z powodu wielkiego nosa przedzielonego rowkiem na samym czubku. Przewisko składało się z dwóch części: germańskiej *zwei* (dwa) i słowiańskiej, nos. Cwajnos brał udział w kampanii na wschodzie w 1920 roku. Najpierw z karabinem maszerował do Mińska, potem od Mińska do Warszawy i z powrotem do Mińska. Powiadał, że po bitwie nad Niemnem wojna toczyła się od „horyzontu do horyzontu”. Polacy ukazywali się na horyzoncie, bolszewicy znikali z horyzontu. Cwajnos, człowiek dowcipny i ciekawy, nie miał wysokiej opinii o

inteligencji swych rodaków. Zwał ich *besserwiserami*. Sam się o tym przekonałem - oni zawsze wiedzieli lepiej i nie mieli żadnych wątpliwości co do własnej wiedzy. A oto przykład: idzie chłopak, wartownik, co niedawno uciekł z Polski. Nogę ma w gipsie. Pytam, co mu się stało. Zerwał sobie ścięgna w kostce. Głupi lekarze - powiada - kazali mi nosić gips przez trzy tygodnie. Miał grać w drużynie siatkówki, a przez ten gips nie może, wcale to niepotrzebne. Gęba mu się nie zamyka. Skończył tylko szkołę powszechną, ale wie lepiej od lekarzy, że opatrunku gipsowego nie potrzebuje.

Oficerom z rodzinami nie wolno było na stałe zamieszkiwać na terenie obozu, wynajęliśmy więc mieszkancko na poddaszu, czyli mansardę w Kaiserslautern przy ulicy Auf der Pirsch 13. Marysia znalazła pracę w amerykańskiej kuchni dla wojska jako *kitchenhelper*, czyli *kuechenhilfe*, z wynagrodzeniem 225 marek na miesiąc. Po dwóch miesiącach została awansowana na *buffet attendant* czyli *buefett-kraft* z pensją 275 marek na miesiąc.

W szpitalu w Landstuhl dostałem przydział na oddział pediatriczny. Ordynatorem był podpułkownik Edwards, po czterdziestce, wzrostu średniego, ostrzyżony na jeża, czyli po amerykańsku *crewcut*. Jego asystent, kapitan, także nosił fryzurę w stylu *crewcut*, a właściwie *supercrewcut*, co sprawiało, iż wyglądał

prawie jak ostrzyżony na pałę, z odrobiną włosów sterczących nieco ponad czołem, nie więcej niż na szczoteczce do zębów. Obaj pochodzili ze stanu Kentucky i jak się później zorientowałem, mówili z silnym akcentem typowym dla południa Stanów Zjednoczonych, skąd wywodził się nieproporcjonalnie duży odsetek zawodowych oficerów. Świadomie i nieświadomie naśladowałem ich sposób mówienia. Później, już pracując we Francji z Amerykanami z centralnych i północnych Stanów, dowiedziałem się, że ta mieszanka mojego polskiego akcentu zakropionego południowym amerykańskim obfitowała w niezapomniane wrażenia słuchowe.

Pptk Edwards przekonawszy się, że znam pediatrię, zostawiał mi sporo wolnej ręki. Pracy było w nadmiarze. Badałem pacjentów, a potem razem omawialiśmy przypadki. Był dobrym i cierpliwym nauczycielem. Skorzystałbym więcej, lepiej znając angielski.

Pielęgniarka oddziałowa, gruba i już niemłoda, doświadczała trudności z wymową mego nazwiska i aby nie zadawać sobie zbytnio trudu, zaczęła się zwracać do mnie per doctor Ski, co się szybko przyjęło. Odtąd nieoficjalnie zwałem się dr Ski. Tylko oficerowie próbowali wymawiać moje pełne nazwisko. U Amerykanów nazwisko nie ma poszanowania, można z nim zrobić co się chce, zwykle skraca je się. Zresztą zwykle używa się imienia, tylko do prezydenta Stanów Zjednoczonych należy zwracać się „mister president”. Nie ma zapotrzebowania na bruderszafty. Raz przedstawia mi się pacjentka, wymawia swe nazwisko „Łajzi”, pisze się „Wyrzy”. Okazuje się, że teść nazywał się Wyrzykowski. Nie tylko nazwiska, ale i zwykle słowa Amerykanie skracają. Zamiast *sister* (siostra) mówią *sis*, sekretarka, czyli *secretary*, będzie *sec*, ale *sec* będzie też sekunda, *wait a sec* (poczekaj chwilę). Hipopotam jest *hippo*, nosorożcowi (*rhinoceros*) także odcięli zadek i zwie się *rhino*, za to aligatorowi (aligator) odcięli przodek i został *gator*.

Jednym z pacjentów było niemowlę z zajęczą wargą, dziurą w podniebieniu, wadą serca i mongolizmem (zespołem Downa). Kiedyś podchodzę i widząc że leży na brzuchu, twarzą do poduszki, odwracam je na plecy - martwe. Najwidoczniej udusiło się. Podeszedłem do grubej oddziałowej i mówię, że nie żyje. Tylko tyle, że nie żyje, nic więcej. Zrobił się mały rwetes. Nikomu nie powiedziałem, że je odwróciłem. Oczywiście błędem było kłaść je na miękkiej poduszce. Trzymałem się z dala od wszelkich dyskusji na ten temat. Staż życiowy pod Hitlerem i pod Stalinem oduczył mnie

gadulstwa. Ppłk Edwards miał trudną rozmowę z rodzicami przy której była obecna gruba oddziałowa, mnie nie zaproszono. Coś im długo tłumaczył. Potem dowiedziałem się, dlaczego było tyle zamieszania z powodu śmierci dziecka, które i tak nie nadawało się do życia. Rodzice mogliby zasądzić armię o duże pieniądze, a na pewno wygraliby proces, gdyby była wiadoma prawdziwa przyczyna zgonu. W języku prawniczym nazywa się to *wrongful death*. Ppłk Edwards nigdy mnie ani w cztery, ani w więcej oczu nie spytał, co zobaczyłem. Musiał jednak domyślać się prawdy, bowiem w kilka dni po konferencji z rodzicami coś napomknął, że dziecko się udusiło. Tak go w każdym razie rozumiałem. Moja pozycja umocniła się po tym wydarzeniu, stałem się bardziej członkiem zespołu niż luźno doczepionym stażystą. Ten przypadek może służyć za przykład, że milczenie jest złotem, a mowa nawet srebrem nie jest.

Polakom Amerykanie nie przypadli do gustu. Na przykład w jakimś urzędzie imigracyjnym nasz rodak pyta Amerykanina: „Już dostałem *affidavit*, kiedy pojedę do Stanów?” Amerykanin odpowiada: „Jeszcze nie wiem”, albo „zdaje mi się, że w styczniu”. Rodaka taka odpowiedź nie zadowala... „Ci głupi Amerykanie, nic nie wiedzą”. Polak zawsze wie, nawet wtedy, gdy nie wie. Trudno mu zrozumieć, że normalny inteligentny człowiek może przyznać się do niewiedzy, a jeśli się przyznaje, to jest podwójnie głupi: raz że nie wie, dwa że się do tego przyznaje. I tak w polskim środowisku króluje spontaniczna dezinformacja. Nie wiadomo, kto wie, kto udaje że wie, a komu wydaje się, że wie.

Amerykańska armia nie cieszy się lepszą opinią od ich urzędów cywilnych. Co to za wojsko, powiadają nasi, siedzą po burdelach, rusczy uderzą i pójdą jak w masło. Wszędzie widzi się amerykańskich żołnierzy. Mroźno, a oni stoją skuleni, bez zimowych płaszczy czekając na przystanku na autobus, na rogu ulicy, na dziewczynę. Widok skulonych, dygocących na zimnym wietrze żołnierzy jeszcze bardziej podważa dobre imię całej armii w oczach Polaków. Sam się na tym złapałem, że czasem patrzę na świat przez sowieckie okulary. Amerykanie na bluzach mają białe paski a na nich wypisane nazwisko. Uważam to za pseudonimy. Przypominam sobie jak to w centrum wyszkolenia sanitarnego w Łodzi któryś z lekarzy kursantów będąc na przepustce w mieście u znajomych, w rozmowie wymienił nazwisko kaprała. Jeden z kolegów lekarzy był kapusiem i doniósł politrukowi. Zrobili z tego wielki skandal - wydawanie tajemnicy wojskowej. Ku mojemu zaskoczeniu dowiedziałem się, że

amerykańscy żołnierze na paskach mają wypisane prawdziwe nazwisko. A więc sowiecki szpieg ma ułatwioną robotę. Nie musi skusić amerykańskiego żołnierza do baru, wydać pieniędzy na wódkę, spić go, podsunąć mu dziewczynę, aby się dowiedzieć nazwiska pułkownika.

Któregoś dnia wracam ze szpitala - przed domem stoi Edek. Wygląda jak model z włoskiego magazynu mody z odchyleniem w stronę artystyczno-poetycką, coś z lorda Byrona. Tak wyobraziłbym sobie Oskara Wilde. Ostatni raz widziałem Edka dwanaście lat temu, w lipcu 1945 roku, w wytartej marynarce i pumpach, gdy zeskakiwał z wagonu na sowiecko-amerykańskiej linii demarkacyjnej pod Pilzнем. Zmęźniał. Odezwał się pierwszy. Odczułem ulgę, że mówi płynnie po polsku. Chyba było w tym coś więcej niż oczywisty fakt, że w tej chwili jedynym co mieliśmy wspólnego był język i zamierzchna przeszłość. Jako Polak widocznie uważałem się za coś niższego od zachodniego Europejczyka i konsekwentnie za niższego od Edwarda. To, że mówił po polsku jak Polak, robiło go w moich oczach Polakiem i nie musiałem czuć się niższym od niego. Jego polszczyzna była nienaganna, bogatsza niż przeciętnego inteligenta. Wyczuwałem jednak coś obcego w akcencie, wprawdzie tylko odrobinę, jakbyś do naczynia pełnego kryształowo czystej wody dołał kroplę atramentu. Jeszcze nie wiedziałem, że w Paryżu brali go za Francuza, w Rzymie za Włocha, w Londynie za Anglika, w Nowym Jorku za Amerykanina. Wjeżdżając do Warszawy na początku lipca, w dwa tygodnie po moim oderwaniu się od wycieczki, jeszcze nie wiedział, że już byłem w Zachodnich Niemczech. Edek na razie zatrzymał się u swej matki, ale wkrótce przeniósł się do Andrzeja, nie wiedząc, że ten znajduje się pod inwigilacją UB. Dla polsko-sowieckiego kontrwywiadu musiał to być nie lada węzeł do rozplatania. Najpierw odkryli Andrzeja kontakty z zachodnim wywiadem. Potem ja wymykam się z Polski. Zapewne przypuszczają, że cokolwiek wiedziałem o tej szpiegowskiej aferze, a sami nie wiedzą czy i ile wiedziałem, i co z tego przekazałem Amerykanom. W dwa tygodnie po mojej ucieczce przyjeżdża do Warszawy Edward, amerykański obywatel, jakoby lewicujący filmowiec, były akowiec i były podporucznik u Andersa. Poliglota władający wieloma językami, a także - co bardziej podejrzane - rosyjskim. Posiada typowe, charakterystyczne cechy ulubionego przez sowiecką propagandę kapitalistycznego wroga „międzynarodowego szpiega”. Przyjeżdża rzekomo celem

odwiedzenia swej matki. Rozbija się po Polsce własnym mercedesem. Spotyka mnóstwo ludzi. Na plażach Wybrzeża płaci dziewczynom dolarami, aby się rozbierały i filmuje je nago. Otrzymałszy mój list z opisem grzybobrania borowików Andrzej i Edek od razu domyślili się, że to szyfr. Borowik... borowik... zastanawiali się, w „Panu Tadeuszu” Mickiewicz pisze „borowik jest grzybów pułkownikiem”. A więc Janek już pokumał się z oficerami. Trudniej szło im z następnym listem, z opisem jak to zamek w drzwiach ubikacji zaciął się i musiałem wciągnąć się aż pod sam sufit, aby wydostać górą i naciągnąłem sobie mięsień w ramieniu. Ustęp z zatrzaśniętym zamkiem to oczywiście Polska Ludowa, odcyfrowali, ale co to jest ten naciągnięty mięsień w ramieniu.

Edek spotkał się z polskimi filmowcami, także z niejakim Teoplitzem. Gdy wrócił z Wybrzeża do Warszawy, zauważył, że wszyscy grzecznie go unikali. W mercedesie miał specjalne radio o szerokim zasięgu. Słyszał jak policyjne wozy, jadąc za nim, wzajemnie informowały się o jego ruchach po Warszawie.

Pewnego wrześnieowego wieczora wpadł do Andrzeja jak po ogień, zabrał wszystkie swoje rzeczy i pojechał do matki. Tej samej nocy ubowcy przyszli aresztować Andrzeja. Przy rewizji znaleźli formułę do robienia niewidzialnego atramentu. Po latach potwierdził to Andrzej. Coś podobnego zdarzyło się w 1943 roku. Wczesnym rankiem gestapo zrobiło nalot na Sadybę Czerniakowską. Edek, nocny Marek, któremu trudno było wygrzebać się z łóżka przed południem, zerwał się o świcie i pojechał do śródmieścia. Nie było go w domu, gdy zabierali młodych mężczyzn.

Wkrótce po aresztowaniu Andrzeja Edek dostał wezwanie do UB. Wypytywali się, po co do Polski przyjechał. Grozili, że jako obywatel polski będzie powołany do wojska, bo nigdy nie służył. Ubowców musiało zboleć to fotografowanie nagich dziewczyn i inne eskapady, bo mu powiedzieli - a kobiety to co, na tuziny czy na mendle? Ucieszył się, gdy mu kazali opuścić Polskę w ciągu trzech dni. Nie czekał do trzeciego dnia. Jak tylko wyszedł z UB, pożegnał się z matką i w nogi. Pokazał mi wycinki z gazet o aresztowaniu Andrzeja, z „Życia Warszawy” i z paryskiej „Humanite”.

Mając coś załatwić w amerykańskim urzędzie, wzięłem ze sobą Edka za tłumacza. Pomimo dużych postępów w angielskim, może jedną trzecią rozumiałem, resztę musiałem odgadywać. Z pacjentami na temat chorób łatwiej było się dogadać. Uderzała wyrozumiałość Amerykanów dla cudzoziemców kaleczących ich język. Cudze błędy

ani ich nie oburzają, ani nie śmieszają. Za to dla polskiego ucha kiepska polszczyzna jest wielce zabawna. Dopiero od Edka dowiedziałem się, nikt nie mógł odgadnąć, dlaczego Rosjanka w biurze niemieckiego kontrwywiadu interesowała się moją znajomością angielskiego. Otóż windę zwą w Anglii *lift*, w USA *elevator*, maskę samochodu w Anglii *bonnet*, w USA *hood*; benzynę w Anglii *petrol*, w USA *gasoline*. W gimnazjach polskich przed wojną uczono brytyjskiego angielskiego, po drugiej wojnie światowej w sowieckich szkołach dla szpiegów - amerykańskiego. Chodziło o sprawdzenie, gdzie uczyłem się języka.

Po paru dniach Edek wracał do Francji. Zabrałem się razem z nim czarnym mercedesem. Nie posiadając dokumentu uprawniającego do przekroczenia granicy, musiałem pożegnać się w Saarbrücken. Paryż, znany mi z literatury i z historii był tak blisko, mógłbym tam dojechać o zachodzie słońca, gdy światło dnia zlewa się ze światłami nocy wielkiego miasta. W przyszłości będę musiał odrobić te dwanaście lat, dzielące nas od tej chwili, kiedy zgubiliśmy się pod Pilzнем. On obywatel świata, bogacz w porównaniu ze mną, ja - bezpieczeństwa biedak, zaczynałem od punktu zerowego. Niemniej nie doświadczałem zazdrości. Świat przede mną stał otworem. Pociągiem wróciłem do Kaiserlautern.

Marysia, młoda i ładna, pracując w kantine przyciągała uwagę żołnierzy. Umizgiwali się do niej. Raz przyniosła kawałek papierowej serwetki, którą wręczył jej jeden z żołnierzy, a na niej wygrzmolone: *Boy oh boy, you' ve got legs, want to meet you in the park. Do you want stockings or chocolate?* (Ale masz nogi, spotkajmy się w parku, czy chcesz pończochy czy czekoladę?)

Opowiadano, że zaraz po wojnie, niektórzy amerykańscy żołnierze wcale nie udawali szarmancji usiłując uwieść głodne Niemki. Zwyczajnie stali u zbiegu ulic trzymając w ręku puszkę konserw, czekoladę, parę pończoch, czekając aż która podejdzie.

Formalnie należałem do polskiej kompanii wartowniczej, skąd pobierałem pensję w stopniu oficera *Labor Service*. Wcale się to wartownikom nie podobało, że mają rodaka za lekarza i to zarabiającego więcej. Mówili: „za dobrze mu, po sprawiedliwości to powinien pochodzić ze dwa lata z karabinem, a nie tak od razu za doktora”. W szpitalu w Landstul jadałem w oficerskiej kantine. W sumie stołowało się tam kilkaset osób. Pielęgniarki albo były oficerami, albo miały te same przywileje co oficerowie. Obiad serwowano od 12.30 do 2.00. Obcokrajowców, to znaczy nie

Amerykanów, lekarzy na szkoleniu było sześciu, poza mną jeszcze pięciu Niemców. Przy obiedzie zwykle siedzieliśmy razem. Raz podszedł do nas sierżant zatrudniony w kantynie i powiedział, abyśmy jadaliby albo pomiędzy 12.30 a 13.00, albo pomiędzy 1.30 a 14.00, ponieważ zbyt wielu przychodzi pomiędzy 13.00 a 13.30 i jest tłoczno. Jakby sześć osób na dwieście stołujących się robiło różnicę. Moi koledzy Niemcy obruszyli się na taką dyskryminację. Ja, mając dalekosiężne plany emigracji do Stanów, nie wyjawiałem swych uczuć, za to wspominałem o tym ppłk. Edwardsowi, mimochodem przy jakiejś okazji. Edwards oburzył się. Sierżant-kucharz więcej do tej sprawy nie wrócił, gdyśmy przychodzili o niewłaściwej porze. Znałem tego sierżanta, bo dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, zwracał się do mnie chłopską polszczyzną z amerykańskim akcentem. Dodatkową przyjemnością korzystania z oficerskiej stołówki było, że wciąż żywo miałem w pamięci dzień spędzony po „przeciwnej stronie barykady” jako pomywacz.

Mój staż w Landstuhl dobiegł końca. Przed wyjazdem do Francji pożegnałem się z Cwajnosem i kilku innymi, których lubiłem. Jeden z rodaków widząc, że moim ostatecznym celem podróży jest Ameryka, dał mi, chyba żartem, choć wypowiedział to z całą powagą, taką radę na drogę: „niech pan uważa, bo tutaj ludzie są tacy i tacy, a tam tylko tacy”. Przypomniało mi to, co chłop radził synowi wyruszającemu z rodzinnej wioski w szeroki świat: „Na przodek się nie pchaj, na zadku nie ostawaj, a środka trzymać się nie musisz”. Miałem zgłosić się do Orleanu, do dowództwa Labor Service, aby tam dostać przydział do jednostki, gdzieś na południu Francji. Marysia na razie została w Kaiserslautern.